POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 9-go października 1943r.* **Rok V. Nr. 40**

NAJLEPSZY WYCHOWAWCA

Wśród rozlicznych haseł programowych, dotyczących doniosłego zagadnienia, które daje się ująć w pytanie: " Co zrobić z Niemcami?" — jednym z najbardziej modnych i najbardziej powszechnie przyjętych jest slogan o " reedukacji Niemców" — o powtórnym ich wychowaniu. W każdym niemal artykule na temat przyszłości Europy i pokoju, w każdym przemówieniu polityków i mężów stanu o konieczności wytrzebienia militaryzmu niemieckiego powtarza się teza, że trwały pokój wymaga całkowitego przestawienia psychiki niemieckiej. I rzeczywiście zagadnienie jest bardzo istotne. Pytanie tylko, czy wprowadzenie w życie tego hasła jest możliwe.

Bo łatwo jest powiedzieć: " Konieczna jest reedukacja Niemców. Trzeba Niemców wychować do życia pokojowego." Ale znacznie trudniej jest to przeprowadzić w praktyce. I dlatego częściej można słyszeć samo hasło, aniżeli praktyczne programy wcielenia go w życie.

Nie jest trudno wyobrazić sobie, jakie trudności będą się nasuwały w tej dziedzinie. Załóżmy, że wojna jest skończona. Niemcy zostały pokonane, Hitler i jego towarzysze oddani pod sąd, Rzesza okupowana i rozbrojona, ciężki przemysł zlikwidowany, konieczne zmiany graniczne przeprowadzone. Oczywiście wszystko to nie będzie rzeczą prostą, ale nie mniej zakładamy, że świat zdobył się na wielką stanowczość i zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby zabezpieczyć się przed trzecią wojną niemiecką. Pozostaje już tylko owo zagadnienie " reedukacji " narodu, zwłaszcza młodzieży niemieckiej.

Wszystko pozwala przewidywać, że w momencie klęski młode pokolenie niemieckie przechodzić będzie kryzys moralny i psychiczny bez precedensów. Wychowane w wierze hitlerowskiej młode pokolenie niemieckie nie będzie w stanie zrozumieć, co się stało. Od trzeciego roku życia małemu Niemcowi tłumaczono, że jedynym jego celem powinno być zdobycie świata lub śmierć za Hitlera, a małej Niemce, że ma kiedyś urodzić nowych żołnierzy niemieckich. Hitler jest bogiem dla młodych Niemców i wcale nie jest pewne, czy przestanie nim być po klęsce. Kto wie, czy nie będzie raczej dalej czczony i uwielbiany, zwłaszcza, jeśli potrafi w porę przenieść się na tamten świat.

Zabić legendę Hitlera będzie może bardziej trudno, niż pokonać go. Wystarczy przypomnieć sobie siłę legendy Napoleona w dziesiątki lat po jego klęsce i śmierci. A przecież kult Napoleona nie może się równać z dzisiejszym, bałwochwalczym kultem Hitlera. Pomijając już różnicę między Francuzami, nastawionymi rozumowo a Niemcami z ich fałszywym romantyzmem, można śmiało stwierdzić, że takiego władztwa dusz, jakie zdobył Hitler w Niemczech, nie miał nikt w żadnym kraju w ciągu stuleci. I było by wielkim błędem przypuszczać, że po klęsce Hitler stanie się tylko wspomnieniem tak samo szybko, jak Mussolini.

Zadanie wytłumaczenia młodemu pokoleniu niemieckiemu — przy czym chodzić tu będzie o wiele milionów młodych Niemców i Niemek od 8 do 30 lat — że wszystko, w co wierzyło, dla czego żyło, i w imię czego pragnęło umrzeć, było złe i pogardy godne, nie będzie więc rzeczą łatwą. Przede wszystkim jednak nasuwa się pytanie, kto ma się tego zadania podjąć.

Jest rzeczą oczywistą, że sama propaganda tego nie osiągnie. Tak samo nie wystarczy rewizja podręczników szkolnych. Hasło międzynarodowej kontroli podręczników, zwłaszcza historycznych, nie jest nowe. W Genewie dyskutowano na ten temat bardzo wiele, ale bez większych rezultatów. Przypuśćmy jednak, że dało by się tę rzecz przeprowadzić i że w szkołach niemieckich podręczniki przedstawiałyby w pełni odpowiedzialność Niemiec za pierwszą i drugą wojnę światową, odbronzawiały Hitlera i narodowy socjalizm i t.d. Czy to by wystarczyło?

Wydaje mi się, że nie. Żywe słowo ma znacznie większy wpływ, niż podręcznik. Nauczyciel powie swym uczniom: "Te podręczniki są dziełem naszych wrogów, którzy w ten sposób chcą nam uniemożliwić dochodzenie naszych świętych praw. W rzeczywistości byliśmy zmuszeni do wojny wbrew naszej woli. Nie ponosimy żadnej winy. Musimy odzyskać to, co straciliśmy i t.d. i t.d." — według znanych wzorów. W tym wypadku oczywiście podręczniki nie zdałyby się na wiele. Młodzi Niemcy nie wierzyliby im.

Tak więc najważniejsze jest pytanie, kto będzie wychowywał następne pokolenia niemieckie. Od tego zależeć będzie charakter tego wychowania. Niektórzy pokładają nadzieje w starszym pokoleniu niemieckim. Ostatnio w tym sensie wypowiadał się Sir Andrew MacFadyean w "*Contemporary Review.*" Niewątpliwie jednak jako ogół niemieccy profesorowie i nauczycielstwo zawiodło całkowicie. Ci, którzy nie szli na hasła hitlerowskie, zostali bezlitośnie zniszczeni przez reżym. Młodsze elementy były i są całkowicie hitlerowskie. Jeśli zważyć, że chodzić tu będzie o dziesiątki tysięcy nauczycieli i nauczycielek, to śmiało powiedzieć można, iż nie znajdzie się nawet drobnego ułamka w samych Niemczech. Niedobitki " starego pokolenia " będą kroplą w morzu potrzeb.

Inny plan, dość często wysuwany w prasie i literaturze sojuszniczej, przewiduje wysłanie do Niemiec licznych zastępów pedagogów z krajów sojuszniczych. Od czasu do czasu lansowane są konkretne apele o szkolenie już teraz zastępów pedogogów, którzy podejmą się trudnego zadania wychowania Niemców na spokojnych i pokojowych współmieszkańców globu ziemskiego. Mieliby to być przede wszystkim nauczyciele z krajów anglosaskich oraz z krajów skandynawskich, Holandii i t.d. poza tym zaś z innych krajów okupowanych przez Niemców. Ale i ten plan nie wydaje się zbyt realny.

Jest rzeczą wątpliwą, aby cudzoziemski pedagog zdobył sobie posłuch, aby mu ufano i wierzono w to, co mówi. Niemieccy konkurenci postaraliby się już o to, by podkopać autorytet takiego " nasłanego " nauczyciela. Co więcej, nasuwa się pytanie, czy wolne narody mieć będą " na zbyciu " nauczycieli, których można by wysłać do Niemiec. Odpowiedź musi być przecząca. Nawet w W. Brytanii bito już na alarm, że brakować będzie po wojnie nauczycieli — cóż dopiero w krajach podbitych, gdzie nauczycielstwo należało do grup najbardziej tępionych. Jest też rzeczą nader wątpliwą, czy wielu będzie kandydatów na stanowiska wychowawców młodych bestii niemieckich.

Tak więc sprawa wychowania młodego pokolenia niemieckiego zarysowuje się w praktyce jako pewnego rodzaju kwadratura koła, jako zadanie niemożliwe do rozwiązania. A przecież nie chodzi tylko o młode pokolenie. Zagadnienie reedukacji obejmuje także i tych, którzy już szkołę czy uniwersytet skończyli. Ci przecież decydować będą o losach Niemiec w ciągu najbliższych 20 lat. Oni też mieć będą — czy to w szkołach, czy w domu — największy wpływ na młodzież. To też ich także, jeśli nie przede wszystkim, trzeba " wychować."

Na pozór zagadnienie przedstawia się więc beznadziejnie. I gdyby polegać tylko na " reedukacji," zapewne takim by pozostało. Ale na szczęście tak postawiona sprawa pomija najpoważniejszy czynnik wychowawczy, jakim jest klęska i sposób jej zadania.

Oczywiście klęska sama w sobie może być zmarnowana jako efekt wychowawczy. Dość wskazać na rok 1918, który bynajmniej nie odstraszył Niemców od pogrążenia świata po raz drugi w wojnie. Ale też naród niemiecki nie poczuł poprzedniej wojny na własnej skórze. Z wyjątkiem krótkiego epizodu rosyjskiej inwazji Prus Wschodnich, wojna toczyła się cały czas zdala od terytorium niemieckiego. Miasta, miasteczka i wsie niemieckie jej nie widziały. Z wyjątkiem Nadrenii i Ruhry nie widziały też wojsk okupacyjnych. Pokój nie został podyktowany w Berlinie.

Teraz już jest inaczej — zupełnie inaczej. Wśród wielu doniosłych efektów bombardowań, wśród wielu korzyści, jakie daje wojna lotnicza jednym z najważniejszych z punktu widzenia wygrania nie tylko wojny, ale i pokoju, jest " wychowawcze " działanie bomb.

Niedawno w Quebec brytyjski minister informacji Brendon Bracken, zapytany o zagadnienie " reedukacji " Niemców, oświadczył, że za najlepszych wychowawców uważa ludzi w rodzaju gen. Harrisa, dowódcy lotnictwa bombowego. I miał stuprocentową rację. Każda bomba zrzucona na miasta niemieckie lepiej wychowuje Niemców na spokojnych sąsiadów, aniżeli by to zrobił najidealniejszy pedagog. Bomby pokazały Niemcom, którzy od przeszło wieku nie zaznali wojny na swym własnym terytorium, jakie jest prawdziwe jej oblicze. I jeśli by kiedyś przyszła im ochota rozpętać nową zawieruchę wojenną, to powstrzymać ich może nie co innego, jak właśnie wspomnienie upiornych nocy, które spędzili w czasie wielkich nalotów sojuszniczych.

Było by też może rzeczą wskazaną postanowić, że w każdym mieście niemieckim jakaś dzielnica czy choćby ulica zbombardowana przez RAF powinna być zachowana w stanie, w jakim znajdowała się po bombardowaniu. Jeśli by szybko wszystko odbudowano, wspomnienie mogłoby się po pewnym czasie zatrzeć. Dobrze więc będzie, jeśli ruiny będą stale przypominać o wojnie lotniczej.

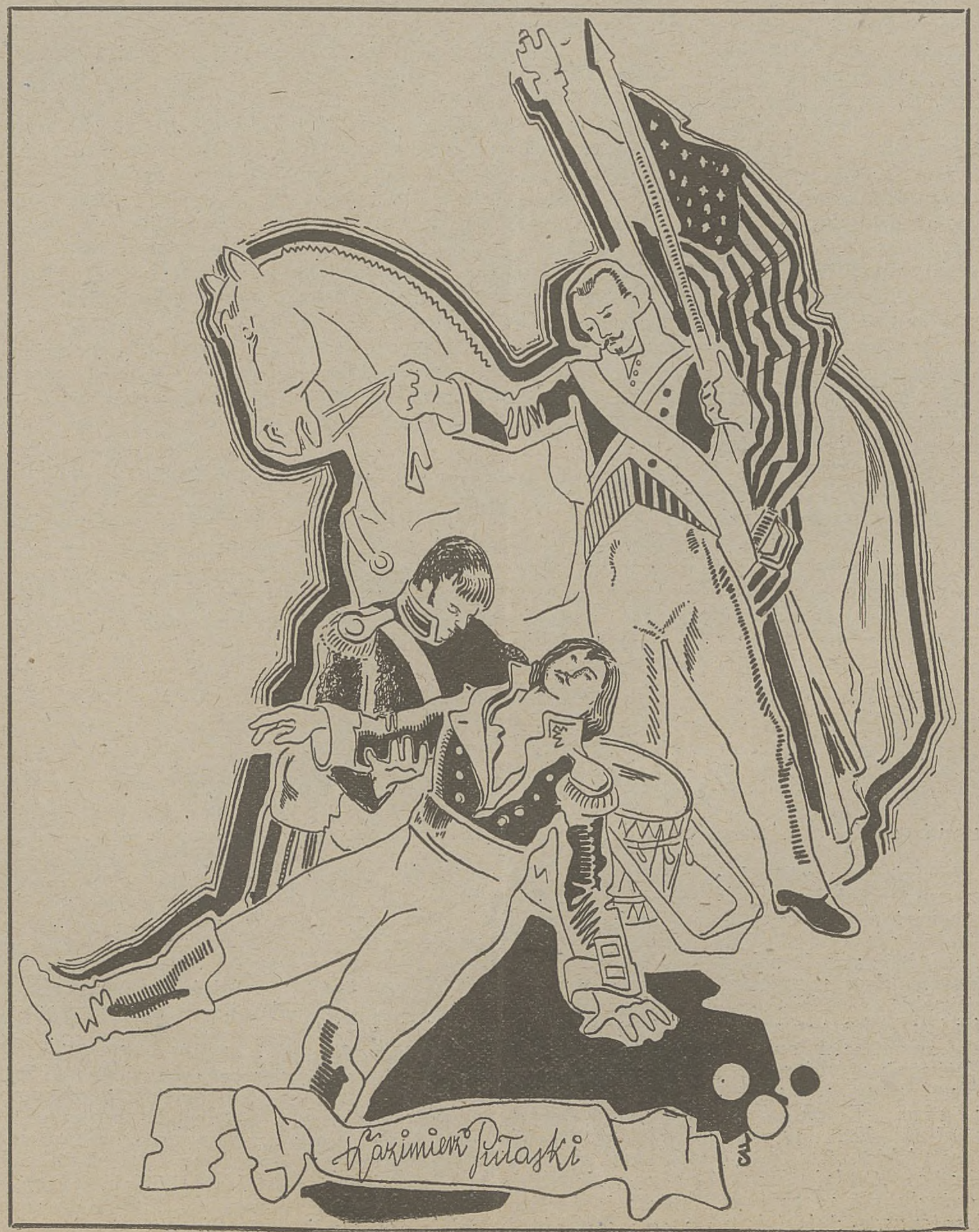
Byłyby one ostrzeżeniem i przestrogą.

ALEKSANDER BORAY

JAN STERLING: Pułaski pod Savannah

Kazimierz Pułaski jest jednym z tych wielkich imion, które należą do historii Polski i Stanów Zjednoczonych. Kiedy padła Konfederacja Barska, załamała się na chwilę walka o wolność jego własnego kraju, stanął w szeregach rewolucji amerykańskiej. W liście do Kongresu pisanym na dwa miesiące przed śmiercią, napisał: "I came here to hazard all for the freedom of America."

Po wspaniałej szarży pod Brandywine w r. 1777, która uratowała armię amerykańską, Pułaski podejmuje się zadania organizowania kawalerii. Jest ojcem i pierwszym dowódcą kawalerii amerykańskiej. Na jej czele istotnie przyczynia się do zwycięstwa pod Haddonfield w r. 1778. Po tej bitwie formuje jednostkę znaną pod nazwą " Legionu Pułaskiego," z którym pełni ciężką służbę wojenną przez następne lata do 9 października 1799, kiedy w oblężeniu Savannah otrzymał śmiertelną ranę. Zmarł od niej w dwa dni później na pokładzie okrętu " Wasp " i miał pogrzeb morski.



MARSZ NA RZYM

Wojska sojusznicze wkroczyły do Neapolu po długich i męczących bojach, które dowiodły, że Niemcy nie ustępują łatwo na cudzej ziemi. W danej chwili mamy do czynienia z krótką przerwą konieczną dla przegrupowania wojsk. Niektóre źródła sojusznicze prorokują, że niebawem dojdzie we Włoszech do jakiegoś "poważnego uderzenia alianckiego." Być może, że akcja we Włoszech, która posuwa się wolniej, aniżeli myślano, zostanie przyśpieszona przez rzucenie do walki większej ilości wojsk sprzymierzonych.

Zasadniczo sytuacja jest jasna: *Rzesza będzie bronić Włoch, ustępując powoli, krok za krokiem.* Nie jest to niespodzianką. Omawiając przy rozmaitych sposobnościach przyszłość Włoch, pozwalałem sobie zaznaczać jeszcze przed rokiem, że Włochy nie wyswobodzą się łatwo z sojuszu z Rzeszą, że cokolwiek tam się stanie, *Wehrmacht będzie walczył na ziemi włoskiej. Włochy bowiem to przedpole Rzeszy i nie może sobie ona pozwolić w żadnym wypadku na odsłonięcie południa kraju.*

Jeżeli dzisiaj amerykańskie "*Liberatory*" atakują z baz w Francuskiej Afryce Płn. ośrodki takie, jak Wiener Neustadt, to cóż to będzie, kiedy Foggia—opasana kręgiem lotnisk—będzie zdatna do użytku? Co będzie gdy lotniska Rzymu będą mogły służyć sojusznikom? Inżynierowie i saperzy amerykańscy już podobno naprawili zniszczenia na wielkich lotniskach i lądowiskach wokoło Foggii. *Rzesza, Austria, Śląsk, Czechy odczują niebawem siłę ataków od strony południa.*

Kierunek uderzenia sojuszniczego brzmi na razie: Rzym, chociaż nie znaczy to bynajmniej, ażeby nie było jakichś uderzeń z innej strony. Nie wiemy również, czy skok na Bałkany nie stanie się faktem jeszcze w tych tygodniach, skoro dowództwo niemieckie wyraźnie się z tym liczy (przyznał się do tego w pogadance radiowej niemiecki komentator wojskowy Sertorius) i skoro powstańcy w Dalmacji ożywieni są nowym duchem na skutek dopływu sprzętu sojuszniczego. W danej chwili jednak nie wydaje się, ażeby sojusznicy mogli nadmiernie "zbaczać" ze swojej trasy. *Zajęcie Rzymu wydaje się koniecznością.*

Szkic sytuacyjny

Jaka będzie obrona Rzymu, nie wiemy. T.zw. rząd Mussoliniego, czyli niesamowite widmo upadłego reżimu, zapowiedział, że powstaje we Włoszech jakaś "strefa neutralna," do której mogą napływać obywatele jako do wielkiego "schronu" Włoch. Rzesza obiecała rzekomo szanować tę strefę i nie tworzyć żadnych ośrodków oporu, ani też nie utrzymywać tam obiektów wojskowych. Zapowiedź "rządu Mussoliniego" miała na celu pozyskanie chociażby odrobiny sympatii dla upadłego dyktatora: wiadomo dobrze, jak ludność Włoch pragnie pokoju i spokoju, jak panicznie ucieka ze stref zagrożonych. Obietnica zatem schronienia i azylu mogłaby zostać przyjęta wcale przychylnie przez zbiedzoną i przerażoną ludność. Przypuszczać jednak wolno, że nikt we Włoszech nie wierzy zarówno obietnicom Mussoliniego, jak i Niemców. Dlatego kto może, idzie raczej w kierunku granicy szwajcarskiej i stara się przez nią przemknąć.

Roosevelt omawiając na ostatniej naradzie prasowej zagadnienie Rzymu wskazał, że obsadzony jest on przez wojska niemieckie, że chociaż w sprawie Watykanu nie można powiedzieć, ażeby był "oblężony" przez Niemców, to jednak faktem jest, że na placu św. Piotra biwakują żołnierze niemieccy.

Widać z tego oświadczenia, że *alianci chcieliby za wszelką cenę uniknąć niszczenia Wiecznego Miasta.* Czy jednak ze strony Niemców zaznaczy się podobna wola—należy wątpić. Zniszczenie jakiego Niemcy dokonali w Neapolu, gdzie podpalili setki pięknych gmachów i zaminowali ulice, dowodzi, iż mszczą się bezwzględnie na sojusznikach z wczoraj. O tej zemście niemieckiej nie należało wątpić. Pierwsze zaraz słowa niemieckie po porzuceniu przez Włochy sprawy niemieckiej nacechowane były pogróżkami i wściekłością. Nie wróżyły one niczego dobrego.

POLITYCZNE OBLICZE WŁOCH

Nie jest ono dalej wyjaśnione, owo polityczne oblicze Włoch. Po naradzie odbytej przez marszałka Badoglio z generałem Eisenhowerem na Malcie należało by wnioskować, że Włochy otrzymają w jakimś bliżej nieokreślonym czasie prawo t.zw. współwalczącego ... (*co-belligerency*). Było by to prawo podobne nieco do tego, jakie ma "Francja Walcząca." Oczywiście, bardzo trudno jest sformułować statut prawny rządu Badoglia. Anglicy dają do zrozumienia, że gdyby wojska włoskie we Włoszech i na Bałkanach stawiały opór Niemcom, to wówczas szanse rządu Badoglia byłyby lepsze. Wiele zależy od tego, jak się spisze flota włoska, która może być obecnie użyta przeciwko Japonii.

Przeciwko zbyt szybkiemu dopuszczeniu grzesznika włoskiego do łask wypowiadają się dwa państwa: Grecja oraz Jugosławia i nie można się im zupełnie dziwić. Podobnie i "Francja Walcząca" ma pewne zastrzeżenia w stosunku do Włoch.

Po stronie angielskiej i amerykańskiej widoczna jest sympatia do narodu włoskiego i zrozumienie jego trudności. Pisma zaznaczają, że Włochy traktowane są obecnie przez wojska niemieckie jako kraj okupowany i że nędza i bieda ludności jest coraz większa. Z tym wszystkim istnieją zastrzeżenia polityczne i pewna nieufność. Najmniej jest jej może w stosunku do samego marszałka Badoglio. Rząd jaki przedstawił on niedawno jest typowym dyrektoriatem wojskowym. Przypuszcza się, że rząd ten będzie uzupełniony osobami z życia politycznego Włoch zarówno z samego kraju, jak i z poza kraju (*Sforza?*), ale że narazie najważniejszym zadaniem jest oczyszczenie terenu z wojsk niemieckich i że sprawy "cywilne" muszą poczekać aż do zupełnego oswobodzenia Włoch, a przynajmniej lwiej części obszaru tego kraju.

Losy walk w Dalmacji są zmienne. Pisma donoszą, że sojusznicy lądują wszelkimi sposobami sprzęt na wyspach dalmatyńskich (być może, że przyjęto sposoby "*korsykańskie*"—jak wiadomo, na Korsyce uzbrojono przez zrzucanie broni spadochronami, tysiące mieszkańców wyspy, co przydało się w chwili, gdy wylądowały tam siły regularne); oczywiście, akcja powstańców nie może być pomyślana *zbyt szeroko,* albowiem przeciwko nim walczą zarówno dywizje niemieckie, jak i chorwackie, ale sądzić trzeba, że na pobrzeżu już wytwarza się stan zamętu i teren jest przygotowany do inwazji.

NA BAŁKANACH

Rozdarcie polityczne Jugosławii jest tragicznym widowiskiem. Spory serbsko-chorwackie znalazły wyraz zarówno w dziedzinie politycznej (na emigracji), jak i w dziedzinie walki czynnej. Siedem dywizyj chorwackich jest w akcji na służbie niemieckiej. Oczywiście, zapędziły ich do tego względy zarobku i życia, przymus obcej służby, który znany jest Chorwatom nie od dzisiaj. Ale nie zmienia to faktu, że między bratnimi narodami wytworzyły się różnice i zadrażnienia, że tysiące Serbów zginęło z rąk chorwackich i że bratnia krew płynie na Bałkanach.

W tych warunkach konieczna jest najszybsza interwencja zbrojna, wejście na ten teren i załagodzenie różnic. Inaczej zaostrzą się i stan ukrytej wojny domowej zacznie hamować operacje wojenne na obszarze Jugosławii. Zdaje się, że strona sojusznicza rozumie dobrze konieczność szybkiej decyzji. Nie wiadomo jednak, jak wobec tych planów zachowa się Rosja; nie wiemy, co powie Turcja i nie wiemy, czy mamy odpowiednie siły na uderzenie już teraz.

NA WSCHODZIE

Na linji Dniepru odbywają się walki. Komentatorzy wojskowi dalej łamią sobie głowy nad tym, czy wojska sowieckie pójdą dalej, czy też zatrzymają się do zimy, ażeby w zimie podjąć marsz? Niektórzy mówią, że jesteśmy w przededniu przerzucenia ciężaru ofensywy sowieckiej na odcinek pod Leningradem i że teraz ruszy front północny.

Tego rodzaju pogląd brzmi wcale prawdopodobnie. Niemieckie skrzydło na północy jest wysunięte bardzo daleko. Jeżeli wojska sowieckie uzyskają powodzenia koło Mohylewa i w kierunku na Witebsk, to wtedy zagrażają bardzo silnie północy. Konieczność ewakuacji i cofania się armii z tego odcinka może pojawić się nagle. Nie wiemy, czy wysłanie kieszonkowego pancernika "Luetzow" z Alte Fiorden w Norwegii ma na celu osłanianie odwrotu czy ewakuacji wojsk niemieckich także i drogą morską, z pod Leningradu, czy też stanowi—jak chce korespondent sztokholmski "*Daily Mail*" w depeszy z dnia 2.X.—wstęp do ewakuacji Norwegii. Pierwsza możliwość wydaje się bardziej prawdopodobna.

W każdym razie szczypce niemieckie w Rosji — od Krymu po Leningrad — pozostają dalej; czy istotnie celem strategii niemieckiej jest puszczenie armii czerwonej na froncie środkowym, ażeby próbować później jakiegoś ruchu oskrzydlającego? Wszystko to jest możliwe, i jak już podkreślaliśmy tu parokrotnie, niemieckiemu sztabowi generalnemu marzyć się może próba powtórzenia jakichś Jezior Mazurskich. Pisma brytyjskie przyznają coraz częściej, że wojska niemieckie cofają się narazie jeszcze w ładzie i składzie.

Sytuacja na Wschodzie pozostaje zagadkowa. Do wyjaśnienia wielu punktów przyczynić się winna konferencja trzech, która odbyć się miała w Moskwie a obecnie, jak słychać, odbędzie się pono w Londynie. Amerykański sekretarz stanu, czyli minister spraw zagranicznych Hull, ma brać osobiście udział w naradach. Ponieważ jednak podróż do Moskwy jest w jego wieku i stanie zdrowia raczej ryzykowna, nasunął się wybór Londynu. Nie wiadomo czy rząd sowieki zgodzi się na zmianę miejsca narad.

Narady tzw. wielkiej trójki będą rzeczą doniosłą. Rosja przedstawi swoje zamiary i plany. Sprzymierzeni powiedzą swoje. Planować się będzie o wiele realniej, aniżeli parę miesięcy temu. Konferencja trzech może przesądzić wiele. Może ona również nie dać spodziewanych wyników.

Jakkolwiek będzie, sprawy, które decydować się będą i ważyć na tej naradzie są nam bliskie. Obchodzą one zarówno nas, jak i naszych sąsiadów. Obchodzą Europę i dotyczą doli i przyszłości pokoju.

Londyn, dnia 4 ego października.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Rozmaitości wojskowe

ROK TEMU I DZISIAJ

Rok temu fala ekspansji niemieckiej osiągnęła swój punkt szczytowy. Pycha Niemców, jak ich podboje, wydawała się bez granic. Armia Rommla w Egipcie, 1500 mil od Berlina, zagrażała Suezowi i polom naftowym w Iranie i w Iraku. Armia v. Paulusa w Stalingradzie, 1350 mil od Berlina, groziła odcięciem Kaukazu, a pod Kalininem, 1000 mil od Berlina, armia niemiecka mierzyła w serce Rosji — w Moskwę.

Dzisiaj Ósma Armia za Neapolem, 800 mil od Berlina, znosi cofające się oddziały Kesselringa, a Rommel zdobywa swą sławę nie na polu bitwy ale zza biurka "Propagandemeistra" Goebbelsa; czerwona armia dochodzi do Kijowa, 750 mil od Berlina, a v. Paulus tylko dla tego nie jest wodzem "Wolnych niemców," że czeka w więzieniu rosyjskim na sąd, jako jeden ze zbrodniarzy wojennych; Moskwa nie jest już zagrożona a Niemcy opuścili Smoleńsk, 800 mil od Berlina.

A w Dover, 550 mil od Berlina, brytyjska armia ekspedycyjna oraz armie sprzymierzone stacjonowane w Wielkiej Brytanii, czekają na znak inwazji.

FORTECA BEZ DACHU

Major Alexander P. de Seversky, amerykański ekspert lotniczy i autor omawianej w "Rozmaitościach Wojskowych" książki "*Victory through Air Power,*" ogłosił w "*Daily Mail*" z 25 u.m. artykuł p.t. "*Fort with no Roof,*" w którym podtrzymuje swoją teorię, że wojnę obecną można wygrać i należy rozegrać tylko z powietrza.

Niemcy chwalą się — pisze Seversky — że stworzyli "*Festung Europa,*" której granic żadna armia atakująca nie potrafi przekroczyć. Ale forteca ich nie posiada dachu a ogień i zniszczenie lecące z nieba muszą ich znieść. Teoria Seversky'ego posiada wszelkie dane, aby pobudzić fantazję mas. Jednak rzeczowe jej rozważenie nasuwa z miejsca poważne zastrzeżenia i wątpliwości.

Główną wątpliwością jest oczywiście fakt, że Anglicy potrafili obronić się przewadze niemieckiej w "*Battle of Britain,*" zachodzi więc pytanie, czy Niemcy nie potrafią dokonać tego samego w bitwie o Niemcy. Seversky odpowiada, że "teoretycznie jest to możliwe. Jednak praktyka wykazała, że *Battle of Britain* była jedyną w swoim rodzaju. Samoloty atakujące były tak słabo uzbrojone, że patrząc na ten epizod z perspektywy czasu musimy się dziwić głupocie wojskowej marszałka Göringa i jego lotniczych spólników. Posłali oni chmary niemal nieuzbrojonych bombowców w biały dzień przeciw brytyjskim "Spitfire'om" i "Hurrican'om" uzbrojonym po zęby. Jakościowo istniała między najeźdźcami a obrońcami przepaść tak olbrzymia, że wyglądało to tak, jakby banda dzikusów zbrojnych w łuki i dzidy atakowała współcześnie uzbrojonych żołnierzy."

To porównanie nie jest zbyt ścisłe, choćby dlatego, że dzisiejszy atak powietrzny na Niemcy idzie głównie nocą; że technika obrony nocnej, a zwłaszcza nocnych myśliwców, poważnie się rozwinęła; że mimo wszystko bombowce nie są do dziś dnia zbyt groźne dla myśliwców; że atak na Niemcy odbywa się bez osłony własnych myśliwców podczas, gdy *Battle of Britain* widziała nad Anglią doskonałe "Messerschmitty."

I dlatego mentorski ton Seversky'ego wydaje się z lekka niepoważny mimo rozgłosu, jaki jego pisma posiadają w Ameryce. Teoria zwycięstwa z powietrza jest równie jednostronna, jak teoria tych, którzy w lotnictwie widzą jedynie broń pomocniczą wojska lądowego. Prawda — jak prawda — leży w pośrodku. Lotnictwo i wojsko lądowe są dzisiaj dwoma równie ważnymi i równorzędnymi narzędziami sił zbrojnych.

JEDEN SAMOLOT CO PIĘĆ MINUT

Mr. Donald Nelson, szef produkcji wojennej Stanów Zjednoczonych, bawiący obecnie w Londynie, podał następujące dane o amerykańskiej wytwórczości.

Od ataku na Pearl Harbour wyprodukowały Stany Zjedn. 110.000 samolotów wojskowych a krzywa produkcji wciąż wzrasta. W tym samym czasie Ameryka wytworzyła 60.000 czołgów, 53.000 lekkich samochodów wojskowych i 1.100.000 ciężarowych, 21 milionów ton okrętów handlowych, 3 miliony ton okrętów wojennych, 170.000 dział, 225 milionów sztuk amunicji armatniej, 1.500.000 karabinów maszynowych, 6.700.000 ręcznych karabinów maszynowych i karabinów oraz 26 bilionów sztuk lekkiej amunicji. Wystarczy tego, aby oddać 2000 strzałów do każdego żołnierza Osi.

Niemcy dawno, bardzo dawno przekroczyli maximum, nie tylko swych zdobyczy terytorialnych, ale także możliwości produkcyjnych. Potencjał wytwórczy Sprzymierzonych zaś wciąż wzrasta i nie widać końca ich możliwości. Warto by Niemcom, egzaltującym się błyskawicznymi wyczynami w rodzaju oswobodzenia Mussoliniego, przypomnieć stare niemieckie przysłowie: "*Gottes Mühlen mahlen langsam aber sicher.*"

16 NA 1

"Ośmset samolotów brało udział w nalocie na Berlin." Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że 10.000 ludzi potrzeba do wypuszczenia tych 800 bombowców na Niemcy. Ponieważ przeciętna ilość członków załogi na bombowcach jest 7, a więc około 6,000 ludzi znajduje się w czasie nalotu w powietrzu. Na każdego członka załogi trzeba jednak 16 ludzi, aby samolot uruchomić do nalotu.

Z FRONTU AUSTRALIJSKIEGO

Zbyt mało wie się o wojnie toczonej na Nowej Gwinei. Jest to epos niesłychanego wysiłku, ofiarnej i trudnej walki. W klimacie podzwrotnikowym, w kraju dzikim i odludnym, przeciw fanatycznemu wrogowi, są dokonania wojsk australijskich tym bardziej godne podziwu, że bohaterami są żołnierze, których większość poszła do walki bezpośrednio po powrocie z Libii, gdzie walczyli równie twardo, z równie groźnym wrogiem, ale w najzupełniej odmiennych warunkach klimatycznych i terenowych.

Następującą historię opowiedział w radio angielskim major Henry Steele, oficer łącznikowy przy armii australijskiej. "Dwu tęskniących za domem żołnierzy australijskich wpadło na lotnisko w nadziei, że "upiecze" im się szybka podróż na urlop do domu. Właśnie zastartowano motory "Latającej Fortecy." Żołnierze poczęli prosić sierżanta, aby ich wziął ze sobą. Tamten się sprzeciwiał, ale z powodu huku motorów nie wiele było słychać. Wobec tego żołnierze bezceremonialnie wepchnęli się do samolotu w ostatniej chwili przed startem. W ośm godzin później, dwu sinych ze zmęczenia i "choroby powietrznej" żołnierzy wysiadło z samolotu na tym samym lotnisku, z którego wystartowali. Wzięli udział w nalocie bombowym na bazę japońską w Rabaul i trafili na jedną z najcięższych i najgroźniejszych zapór ognia artylerii przeciwlotniczej broniących się Japończyków."

DOMINIK SZCZERBIC

Z tygodnia na tydzień

27 w r z e ś n i a: Ósma Armia zdobyła Foggię.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe, przeprowadzały wymiatanie oraz dalekosiężne patrole ofensywne. W czasie tych działań piloci polscy strącili na pewno dwa niemieckie samoloty myśliwskie.

28 w r z e ś n i a: Polskie samoloty bombowe brały udział w nalocie na Hanower. Wszystkie załogi polskie powróciły po wykonaniu zadania.

29 w r z e ś n i a: W Moskwie ogłoszono o zajęciu Kremienczuga przez wojska rosyjskie.

30 w r z e ś n i a: Czołgi Sprzymierzonych dotarły do przedmieść Neapolu. Następnego dnia wkroczyła do miasta Piąta Armia amerykańska.

1 p a ź d z i e r n i k a: Odbyła się narada Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza z prezesem Rady Ministrów Stanisławem Mikołajczykiem i Naczelnym Wodzem gen. broni Kazimierzem Sosnkowskim.

W naradzie tej wzięli udział: minister obrony narodowej gen. dyw. Marian Kukiel i minister spraw zagranicznych Tadeusz Romer.

2 p a ź d z i e r n i k a: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadziły trzykrotnie wymiatanie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela, dalekosiężne patrole ofensywne oraz brały udział w akcji ratowniczej na morzu. W czasie tych działań uszkodzono 2 Focke Wulfy 190.

Wszyscy polscy piloci powrócili.

4 p a ź d z i e r n i k a: W nocy z 3/4 lotnictwo brytyjskie dokonało silnego nalotu na Kassel.

—Wojska francuskie wkroczyły do Bastii. Cała Korsyka została wyswobodzona.

—Polski dywizjon myśliwski rozpoznawczy wykonał lot patrolowy wzdłuż wybrzeży nieprzyjacielskich.

—Admirał floty Sir Andrew Cunningham mianowany został pierwszym lordem morza i szefem sztabu brytyjskiej marynarki wojennej, na miejsce chorego admirała floty Sir Dudley Pound'a.

Werbunek w puszczy brazylijskiej

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Zanim zdążyliśmy z płk. M. dojechać do odległej osady Hervalsinho, doszły nas już w Terezynie echa nastrojów panujących tam w okresie oczekiwania na przyjazd Pułkownika. Kobiety przyjeżdżające z Hervalsinho do apteki w Terezynie przyniosły wieści.

—U nas chłopy piją . . . i czekają na Pułkownika!

—A dlaczego piją?

—No, bo szykują się na wojnę! Nic juchy nie robią kole chałupy, ino piją i "garantują," aż strach. Bodajby już ten Pułkownik jak najprędzej przyjechał, bo z chłopami trudno wytrzymać . . . — narzekały niewiasty z Hervalsinho.

Proboszcz z parafii Ivai, który tam był niedawno, potwierdził opinię kobiet. Wobec tego należy tam pojechać co rychlej, chociaż nie zdążyliśmy jeszcze odetchnąć po owej podróży "cygańską budą" do Morskiej Woli. Snujemy z Pułkownikiem koniunktury na temat tego "chłopskiego pijaństwa" w Hervalsinho: dobry to czy kiepski znak?

—Pan ich tu dobrze zna — mówi Pułkownik — na jaką intencję właściwie oni tak piją?

—Po prawdzie mówiąc, to koloniści w Hervalsinho lubią popić i bez szczególnej intencji. Wielu z nich wyrabia wódkę własnym przemysłem z trzciny, a okazji do picia im nie brakuje. Piją z braku innej rozrywki, zwyczajnie, jak w zapadłej dziurze leśnej. Dla nich więc przyjazd Pułkownika i werbunek do wojska polskiego jest zdarzeniem historycznym. W "Weselu" Wyspiańskiego chłopy piją przed powstaniem, ale tamto było, jak wiemy . . . słomianym ogniem. Zobaczymy i tutaj, co z tego picia wyniknie. Nastrój zapowiada się dobry.

Nie zwlekając, wybieramy się konno we trójkę z Terezyny pod wieczór. Towarzyszy nam świeżo przyjęty ochotnik z Terezyny, miejscowy hotelarz Piotr Wal. Deszcz dopiero co ustał i droga śliska, przed nami opętane cztery mile. Pułkownik ma eskortę nieliczną wprawdzie, ale dobraną, bo to i nowozaciężny rekrut z Parany i ex-wachmistrz Eskorty Armii Hallera z tamtej wojny. Pułkownik jedzie na koniu wypożyczonym od miejscowego Turka /stąd temat do żartów, że jedzie robić zaciąg na bachmacie tureckim . . ./ — i cieszy się zawczasu przejażdżką. Tylko, że podróż po bezdrożach leśnych w tej okolicy w niczym nie przypomina spacerów konnych do Wilanowa . . .

—Bardzo bym rad, żeby mnie teraz zobaczyli ci, co to salonkami i Cliperami rozjeżdżają się w misjach wojskowych! — powiedział Pułkownik, gdyśmy wprowadzili konie na prom na rzece Ivai.

—Może i zobaczą, ale na fotografii — powiadam. Wiozę w torbie kodaczek.

Jedziemy drogą wyboistą, śliską i górzystą, którą zacieniają zwisające z obu stron gałęzie i niby z kropielnicy strzepują nam na kapelusze resztki deszczu. Pułkownik dziwi się, jak takimi drogami mogą jeździć wozy z ciężarem, skoro koń z jeźdźcem musi kluczyć i przemykać się między wyrwami i nieraz tuż nad przepaściami. Ale ziemia tu bujna, zarośla ciemnozielone, podszycie gęste i plantacje kukurydzy pięknie się zapowiadają. Ogromna rozmaitość drzew, nawet drogocennych jako materiał, tutaj niszczeje od ognia bezużytecznie z powodu braku komunikacji. Rozmawiamy o marnujących się bogactwach w tym kraju i o naszych osadnikach, tracących bezużytecznie swe siły w niesłychanie ciężkich warunkach egzystencji w zapadłych borach tropikalnych.

Tymczasem droga staje się coraz węższa i zaczynają nas szarpać z boku za rękawy i nogawki, zwisające nade drogą kolczaste "*nia-pinda,*" o kolcach podobnych do szponów krogulczych. Pułkownik boi się o binokle. Wysuwam się naprzód, bo zmrok już spada i podaję wstecz moje obserwacje.

—Panie Pułkowniku, pinda z lewej . . . albo z prawej! — To znowu: — Uwaga, dziura w mostku, omijać na lewo! Pinda z góry, kłaniać się niżej! . . .

Po drugiej mili takiej jazdy Pułkownik czyni skromną uwagę:

—No, panie, jak tam dalej będzie? Toć ja tego wieczoru nakłaniałem się już tym "pindom" więcej, niż na dworskim balu . . .

—Co dalej będzie, trudno mi powiedzieć. Nie byłem tutaj od dziewięciu lat. Może niektóre mostki ulewa zniosła . . . może brzeg drogi oberwał się nad *debrami*.

W jednym miejscu jest tak ciemno, że nie dostrzegam drogi na dwa kroki, więc tutaj radzę zejść z koni i macać grunt własnymi nogami. Opodal coś bieleje . . . to chyba woda. Jest zatym rzeczka, ale zarzucona ogromnymi głazami. Czy konie przejdą czy nie połamią nóg?

—To może ja bym tu wypróbował nieprzemakalność moich butów, kupionych w Porto Alegro? — radzi Pułkownik.

—Nie miałem jeszcze okazji do ich wypróbowania na wodzie.

—Na nic — powiadam — bo my obaj z kumem Piotrem jesteśmy w trzewikach . . . Voilá, wsiadamy na konie, było nie było!

Tymczasem bród okazał się doskonały, ale po nocy strach ma zawsze większe oczy. Noc zaś była tym ciemniejsza, iż zanosiło się na deszcz.

—Żeby chociaż pańska klacz miała co białego na ogonie, to by mi wskazywała drogę! — narzekał Pułkownik.

—Nic na to nie poradzę. Ona ma gwiazdkę, jak raz, tylko na nosie.

Była dziesiąta w nocy, kiedy dobiliśmy wreszcie do środka osady Hervalsinho. Oczekujący nas u Kropernickiego proboszcz już zwątpił i wybierał się spać. I myśmy tej nocy spali na plebanii, jak po kąpieli.

Nazajutrz była pogodna od rana niedziela i tłumy kolonistów polskich gromadziły się przed kościołem. Na nabożeństwie śpiewano polskie pieśni patriotyczne /znikł przymus nacjonalizacyjny/ i gdyby nie te twarze wymizerowane przez malarię i przez "*anemia verminosia*," mogłoby się zdawać, że ci ludzie wczoraj przybyli z Lubelskiego.

To się zresztą okazało wkrótce przy badaniu lekarskim ochotników z Hervalsinho, których w kilka tygodni potym lekarz wojskowy z Kurytyby cofnął do domów dla podleczenia. Malaria, anemia, no i ta trzcinowa samogonka uczyniły w tych lasach takie spustoszenie wśród polskich osadników, że mimo szczerych chęci wielu z nich, zaledwie 5% mężczyzn w wieku poborowym nadaje się do służby wojskowej w czasach obecnych. Z młodszego pokolenia, tutaj urodzonego nawet tyle nie dało by się wybrać.

Po sumie zebrali się osadnicy z rodzinami w sali kooperatywy, którą na przyjęcie Pułkownika ustrojono w liście palmy. Uroczystość była bardzo podobna do odpustu. Dzieci szkolne z chorągiewkami brazylijskimi uszeregowane przed gankiem a na ganku jedna z dziewcząt polskich z bukietem w ręku wita Pułkownika wierszem ułożonym ongiś przez ś.p. dra Kossobudzkiego na powitanie pierwszego Konsula — także już ś.p. Głuchowskiego. Wionął ku mnie nastrój tamtych pierwszych chwil niepodległości.

Na malutkiej scence w tej natłoczonej sali, przy 30 stopniach w cieniu z deklamujących wierszyki dzieci spływa pot strumieniami. Program uroczystości długi, urozmaicony śpiewami i wierszami, po polsku i brazylijsku, ułożony był pracowicie przez p. Kropernickiego, miejscowego działacza ludowego. Silne wrażenie sprawiają przemówienia przybyłych, ponieważ od szeregu lat po raz pierwszy mówi się publicznie po polsku. Pułkownik opowiada o wojnie, o ofiarach poniesionych przez cały naród, o zniszczeniu przez Niemców ich rodzinnych stron: Lubelskiego i Siedleckiego.

—A na miejscu, gdzie były Siedlce, stoi tylko tablica z napisem, że tu "było miasto"!.

—Jezu, Jezu . . . — odzywa się w tłumie jakaś staruszka — toć my z pod Siedlec pochodzim!

—A jak tam nasz Krasnystaw, panie Pułkowniku? — zapytuje inny osadnik.

—Podczas odwrotu wrześniowego — odpowiada Pułkownik, mijając go bokiem, widziałem jak się palił . . .

W godzinę potym ta sama staruszka Pawlakowa przyprowadza do Pułkownika na plebanię dwóch synów, Kazimierza i Edwarda — na ochotników.

—Niechta idą, panie pułkowniku, żeby Szwabom zapłacili za nasze Siedlce!

Przychodzą też i młode żony obu Pawlaków, przystojne kobieciny. Jedna z nich przyprowadza malutką córeczkę w różowej sukience i powiada Pułkownikowi, że to maleństwo przez całą drogę odgraża się, że musi "pana pułkownika uścisnąć za szyję." Istotnie, schylającego się Pułkownika chwyta za szyję i przytula buzię do jego ogorzałej twarzy. Dostaje torbę cukierków, ale Pułkownik jest naprawdę wzruszony.

—Kto by to powiedział . . . w takich zapadłych puszczach, ot — i polskie dziecko, polska krew . . .

Po zapisaniu się na listę ochotników urodzonych w Kraju, zgłaszają się z kolei osadnicy urodzeni już w tych borach. Jeden z nich, Bukała, przyjeżdża z miejsca o trzy mile drogi stąd. Mieszka sam, wśród kabokli, zawołany myśliwy.

—Oko mam dobre, panie pułkowniku — chlubi się ten polski tramp z nad Ivai — jakby mi dali porządny karabin, to niejeden szwabisko nakryłby się nogami. Nawet na tygrysa chodziłem!

Drugi, szwagier Pawlaków, cokolwiek już podchmielony /chłopy piją . . . / opowiada jak grając w karty zrobił zakład, że gdy mu wyjdzie "*copa*" /czerwień/ — to znak, że pójdzie do polskiego wojska.

—I wyszła mi "*copa.*" Panie Pułkowniku, jak Boga kocham!

Nazajutrz wracaliśmy rano do Terezyny w asyście kilku młodych osadników. Jeden z nich, rdzenny Brazylijczyk Lopes, mówi nieźle po polsku.

Przed wyjazdem jeszcze odwiedziliśmy z Pułkownikiem miejscowego nauczyciela brazylijskiego, żonatego z Polką. Dziwi się przyjemnie, że pułkownik polski włada wcale dobrze tutejszym językiem. Rozpromieniona nauczycielowa pokazuje Pułkownikowi najmłodszego synka, może pięcioletniego, który umie już grać na dużej harmonii. Pułkownik prorokuje, że wyrośnie z tego dzieciaka jakiś polsko-brazylijski Szopen albo Paderewski.

Żegnamy się serdecznie z herwalsiniakami. Za tydzień zbiórka ochotników w Terezynie.

WŁADYSŁAW WÓJCIK

PRASA BRAZYLIJSKA O OCHOTNIKACH POLSKICH Z EMIGRACJI

Dziennik "*Diario da Tarde*" opublikował niedawno pod nagłówkiem "Przykład patriotyzmu" artykuł podkreślający zapał, z jakim Polacy w Ameryce Południ. zgłaszają się do szeregów Armii polskiej w Anglii. Oto dosłowny przekład tego artykułu:

"*Od samego początku tej wojny Naród Polski dawał i daje dowody szlachetności uczuć, poświęcenia i bohaterstwa. Wykazuje ten kraj odwagę i niezłomną wolę walki aż do końca, aż do ostatecznego zwycięstwa. Mimo okrutnych prześladowań, pogrążony w krańcowej nędzy, każdy Polak w kraju stanął w zwartych szeregach walczących z przemocą i nietracących nadziei. Bezkompromisowość ta stała się już cechą każdego Polaka.*

Podobne stanowisko zajęło też wychodźstwo polskie. Pamiętne są słowa gen. Sikorskiego, że w najcięższym okresie, po wrześniowej katastrofie Polski, stanowisko emigracji polskiej we Francji było jedynym jaśniejszym zjawiskiem w dziejach narodu. Lecz i na innych terenach wychodźczych Polacy dowiedli, że są godnymi synami bohaterskiego narodu. Ze wszystkich zakątków kuli, ziemskiej, skąd tylko jest to możliwe, pod biało-czerwony sztandar napływają rzesze ochotników do walki z wrogiem ludzkości. Na każdym odcinku emigracyjnym uwidoczniona zostaje owa niezrównana wola i chęć służenia sprawie demokracji, będąca zarazem podkreśleniem ich świadomej łączności z narodem.

W Argentynie zaciągnęli się do wojska polskiego, między wielu innymi, czterej synowie osadnika Mateusza Widły, młodzieńcy od 18 *do* 24 *lat i o tej porze walczą za słuszną sprawę, i o wolność ojczyzny. Z Urugwaju osadnik Zdanio, emigrant z pow. Suwałki i sam weteran z wojny* 1918-20 *wysłał na ochotników do wojska polskiego dwóch synów, z których starszy liczy* 20 *a młodszy* 18 *lat. Ojciec obu tych ochotników, mając chorą żonę, sam błagał władze polskie o przyjęcie go do szeregów gen. Sikorskiego, tak pragnął jeszcze wziąć czynny udział w oswobodzeniu ojczyzny z jarzma okrutnych i podłych wrogów. Z uwagi na wiek nie przyjęto go do wojska.*

Ostatnio przyszła kolej na Brazylię, skąd do wojska polskiego zgłaszają się liczni ochotnicy a liczba ich wzrasta z każdym dniem. W stanie św. Katarzyny w miejscowości S. Bento /środowisko osadnictwa niemieckiego! — przyp. tłum./ *mieszka rodzina Leona Położna, weterana i inwalidy z poprzedniej wojny. Połomowie pochodzą z okolic Gdyni, z tej prastarej dzielnicy polskiej, Pomorza, którą niemiecką propaganda nazywała tendencyjnie "polskim korytarzem." Otóż z rodziny kaszuby Połomą zgłosiło się tutaj na ochotników czterech jego synów: Leon, Władysław, Franciszek i Kazimierz. Dwóch z nich już odjechało do obozu w Anglii, trzeci zachorował i musiał się poddać operacji, a czwartego cofnięto do domu po orzeczeniu komisji lekarskiej. Wrócił do domu bardzo zmartwiony.*

Ze S. Paulo wdowa Adamczukowa pobłogosławiła i wyprawiła do walki z wrogami ludzkości swoich wszystkich trzech synów. Czyż poświęcenie tej matki Polki nie równa się przykładom wspaniałych cnót spartańskich?

W Porto Alegre mieszka rodzina emigranta Antoniego Putonia i jego małżonki, z domu Cybulskiej, pochodzących z wioski nadgranicznej Boża Wola. W trudnych warunkach życiowych na emigracji rodzina ta wychowała siedmiu synów na przykładnych młodzieńców. Z tych p i ę c i u zgłosiło się na ochotników /Aleksander, Jan, Franciszek, Stanisław i Józef/ — szósty nie ukończył jeszcze 17 *roku życia, więc czeka dopiero na przyjęcie go do szeregów wojska polskiego. Wypada nadmienić, że młodzi Putoniowie są zdolnymi rzemieślnikami i zarabiali tutaj niezgorzej. Trzech z nich ma już żony i dzieci, ci jednak zostawiają swe rodziny zabezpieczone, gdyż rząd polski zapewnił rodzinom ochotników stosunkowo wydatną pomoc pieniężną.*

Przykłady tu przytoczone dowodzą niezbicie wielkości duszy ludu polskiego, gorącego ukochania ojczyzny i niezrównanej gotowości do poświęcenia. Czyż naród taki nie ma prawa być dumnym z siebie? Mając takich synów naród polski zasługuje w pełni na odzyskanie wolności i odzyska ją napewno, wraz z wielkością swej ojczyzny."

Naczelny Wódz do "Polski Walczącej"

W rocznicę zakończenia Kampanii Wrześniowej Naczelny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski przesłał na prośbę Redakcji następujące oświadczenie:

Dnia 5 października 1939 roku zakończył się ostatni bój Wojska Polskiego przeciw przygniatającej przewadze najeźdźców. W tym dniu pamiętnym ostatnie oddziały gen. Franciszka Kleeberga zdziesiątkowane i skrwawione wielodniowymi walkami w rejonie Kocka, zadawszy ciężkie straty wrogowi, zmuszone zostały do złożenia broni. Dobiegł również kresu bohaterski opór stawiany przez armie gen. Kutrzeby i Przedrzymirskiego, wsławione uprzednio przez chlubne bitwy stoczone pod Kutnem, Modlinem, nad Bzurą, nad Narwią i Bugiem.

Tak więc dnia 5 października kończy się regularna kampania, trwająca na obszarach Polski od dnia 1 września 1939 r. Po doświadczeniach czterech z górą lat wojny, opór nasz oceniony został przez opinię świata zgoła inaczej, aniżeli bezpośrednio po kampanii wrześniowej. Świat poznał w pełni potęgę niemiecką, kiedy furia ataku niemieckiego powaliła kolejno na zachodzie Holandię, Belgię i Francję, a potem na południu Europy Jugosławię i Grecję. Olbrzymie zmagania na równinach Rosji uwypukliły siłę Niemiec i uwydatniły wyraziście skalę wysiłku Armii Polskiej, która ponadto, poczynając od dnia 17 września, toczyła bój na dwa fronty.

Ani na chwilę nie umilkł szczęk oręża polskiego. Gdy na ziemiach polskich dogasały ostatnie boje, marynarka polska i lotnictwo polskie przejmowały już hasło dalszej walki. Odradza się Armia Polska we Francji, a poprzez liczne, pilnie strzeżone granice, toruje sobie drogę żołnierz polski do formujących się oddziałów.

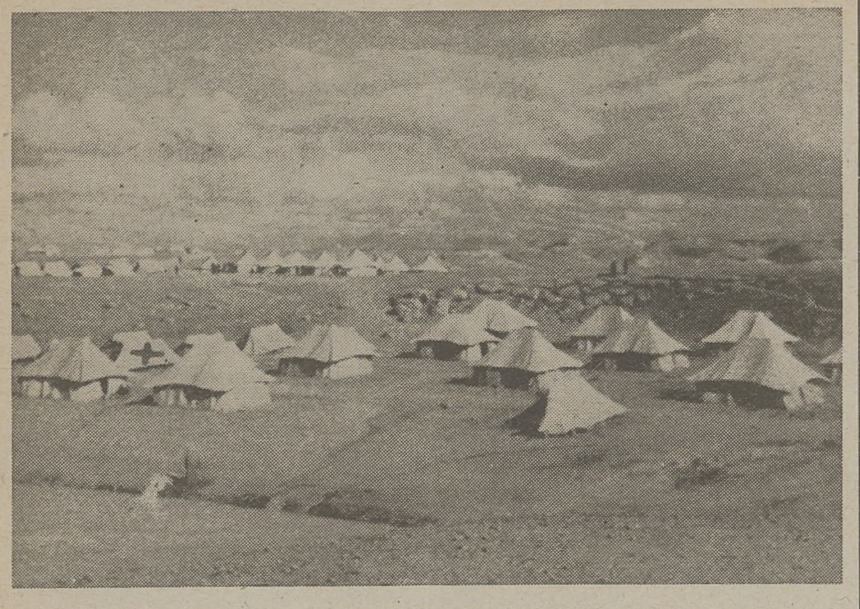
Przez czas pewien propaganda wrogów starała się przemilczeć istnienie Polskich Sił Zbrojnych, a potem, gdy już dłużej faktów oczywistych zataić nie było można, próbowała pomniejszyć nasz udział w obecnej wojnie. Propaganda niemiecka wiedziała dobrze, że trzeba ukrywać przed Polakami w Kraju wszystko co świadczyło o rozroście i krzepnięciu naszych zastępów żołnierskich. Zdawała ona sobie jasno sprawę, że dla pogrążonego w niedoli Kraju, polskie wojsko, polska marynarka i polskie lotnictwo stanowią widomy i otuchę budzący znak ciągłości Państwa Polskiego.

Społeczeństwo polskie śledzi pilnie każdy czyn swoich żołnierzy na obczyźnie. Prasa podziemna w Kraju skrzętnie notuje każdy przejaw rozwoju i każdy czyn bojowy Polskich Sił Zbrojnych. Ustawicznie i gorąco Kraj domaga się jak najobszerniejszych wiadomości w tym zakresie. W dniu święta żołnierza polskiego, dnia 15 sierpnia roku bieżącego, na jednym z wielkich gmachów Warszawy pojawił się transparent z napisem: "Niech żyją Polskie Siły Zbrojne." Słowa te, wypisane na murach stolicy na przekór czujności wroga, są wyrazem wiary i uczuć, jakie Kraj żywi w stosunku do swoich zastępów zbrojnych.

Na progu piątego roku wojny zastępy te są silniejsze i lepiej wyposażone, niźli to miało miejsce na ziemi francuskiej. Nie wiemy, jakimi szlakami zdążać będą one do Polski i przez jakie fronty będą się musiały przebijać. Wiemy natomiast, że gdy po skończonej tułaczce do Polski powrócą i połączą się z Armią Krajową, gdy otworzą bramy więzień i obozów jenieckich, gdy z katedry Wawelskiej, Gnieźnieńskiej, Warszawskiej, Lwowskiej, Wileńskiej, z tumów prastarych i z niezliczonych kościółków wiejskich rozlegną się dźwięki hymnu "Te Deum laudamus"—wówczas z każdej piersi żołnierskiej popłynie gorące ślubowanie, że dzień jutrzejszy nowej Polski będzie lepszy i bezpieczny.

Kazimierz Sosnkowski

ARMIA POLSKA NA WSCHODZIE



Namioty w pustyni

III*

Tak się jedzie około 50 kilometrów. Z połowy drogi, gdy szosa przecina pasmo nieco wyższych fałd, widać potężne — w porze zimowej pokryte śniegiem — góry Z., znajdujące się już w Iranie. Gdy słońce zachodzi, góry zwykle są koloru różowego, zaś głębokie doliny i wąwozy odcinają się w nich ciemnym fioletem. Góry te urozmaicają widok tej ponurej krainy, dodają jakiejś otuchy i nadziei. Z daleka są bliźniaczo podobne do naszych Tatr.

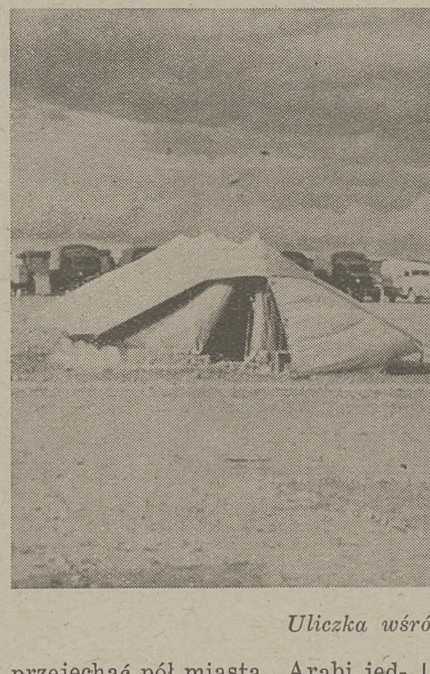
Wreszcie z nierówności terenu wyrastają szeregi i rzędy namiotów. Na dalszych wzniesieniach i fałdach ukazują się nowe ich smugi. Tym razem pierwszy od strony zachodniej mieści w sobie szpital hinduski, następnie biegną namioty polskie. Po przejechaniu jeszcze dwóch, trzech kilometrów człowiek widzi, że wszystkie wzniesienia, stoki, fałdy i doliny między nimi są pokryte nieprzerwaną masą namiotów. Namioty te ciągną się aż po kres widnokręgu.

Jest to morze namiotów. Polskie morze. Kompania przy kompanii, batalion obok sąsiedniego batalionu. Brygady w bezpośrednim pobliżu. Wreszcie jedna dywizja w odległości zaledwie paru kilometrów od innej. Tuż zupełnie niedaleko w braterskim sąsiedztwie znajdują się podchorążówki, szkoły specjalne, szpitale i oddziały zapasowe. Między namiotami oddziałów widać większe namioty dowódców i ich sztabów — zazwyczaj oznaczone chorągiewkami, budynki gospodarcze zlepione już rękami polskich żołnierzy, przychodnie lekarskie, kuchnie, magazyny i świetlice. Między poszczególnymi rejonami place ćwiczeń, strzelnice, boiska sportowe i tory dla szkolnej jazdy samochodowej.

I tu życie bije pełnym tętnem. Ten — /znów stosuję dowolne oznaczenie/ — rzut znalazł się tu dlatego, że tutaj ponownie zbiegają się: woda w postaci rzeki H., szosa i kolej. Kaprys terenu tak chciał, że szosa, kolej i rzeka z rejonu Q. R. biegną przez pustynię odrębnymi drogami i łączą się dopiero w tym miejscu.

W tym rejonie rzeka H. przepływa obszar zajęty przez nasze wojsko. Z tej okoliczności Arabi ciągną dość pokaźny zysk. Jedyny most przerzucony przez rzekę a położony w K. jest niewystarczający dla obsługi wszystkich potrzeb. Nieraz bowiem, aby przejść most, trzeba iść 5—6 kilometrów wzdłuż rzeki, a potem taką samą odległość z powrotem. Jest to niedogodne, szczególnie jeśli miejsce, gdzie trzeba załatwić tę lub inną sprawę leży po przeciwnej stronie rzeki. Stąd liczne t.zw. "ośle brody." W miejscu gdzie woda sięga po brzuch osła stoją Arabi, wraz ze swym "żywiołem." Gdy nadchodzi klient pragnący przejechać na drugą stronę Arab inkasuje 50 filsów, pomaga pasażerowi wgramolić się na ośli grzbiet a następnie daje kopniaka w jeden z oślich pośladków i mówi pieszczotliwie: ". . . .ołłu iszak." Osioł, który doskonale rozumie po arabsku, włazi do wody i przechodzi przez rzekę, po czym wraca.

Jeżeli na przeciwległej stronie jest pasażer, włazi na osła przy pomocy poprzedniego, zaś osioł na głos swego właściciela posłusznie idzie z powrotem. Wtedy pasażer uiszcza należność *post factum*. Cena przeprawy jest — mówiąc między nami — złodziejska, bowiem 50 filsów jest to jeden szyling. Tu w Londynie za pół szylinga można



Uliczka wśród namiotów

przejechać pół miasta. Arabi jednak do tego zagadnienia podchodzą nieco inaczej. "Jak ktoś nie chce płacić, niech "się kąpie." Mój osioł — moja cena." Niestety woda w zimie jest diablo zimna — więc płacą, klną, lecz płacą.

Dlatego żołnierz, który idzie służbowo do dowództwa położonego po drugiej stronie rzeki jako goniec z papierami, dostaje od swego dowódcy 100 filsów, co trzeba wydać z własnej kieszeni, bowiem przepisy O.G. wydane jeszcze w Polsce a uzupełnione w Anglii, nie przewidziały rozchodów na "ośle przeprawy."

Wróćmy jednak do obszaru zajętego przez nasze wojsko. Rejon ten stanowi potwierdzenie prastarej reguły, że w pustyni woda i przebiegający przez nią szlak komunikacyjny powodują skupienie ludzi. Od zamierzchłych czasów w tym miejscu przechodzi szlak dziejowy prowadzący z Azji do krajów śródziemnomorskich. Szlak ten przecina rzekę. To spowodowało, że tu powstało miasteczko K., a następnie dokoła niego — oaza. Oaza jest duża, sięgająca kilku kilometrów długości i szerokości. Jest to właściwie las palm daktylowych, tworzący malowniczy widok. Ziemia jest tu dobrze wykorzystana. Między palmami posadzono jarzyny, obok nich rosną krzewy, a czasem mniejsze drzewa.

Pośrodku oazy, po obu stronach rzeki, rozłożyła się dość spora mieścina dająca wierny obraz prowincjonalnego życia arabskiego. Handlarze, rzemieślnicy, rolnicy, sprzedawcy uliczni — wszystko w podartych, brudnych narodowych szatach; "ziemianie" w ozdobionych złotem szerokich chałatach, żebracy ubrani w coś, co dawno, bardzo dawno, było strzępem łachmana lub zgoła opaską na biodrach. Do tego trzeba dodać od czasu do czasu odwiedzających miasteczko pastuchów z gór, oraz Kurdów uzbrojonych w noże. Rzadko, nadzwyczaj rzadko, w tym tłumie można spostrzec czarne postacie idące przeważnie we dwie. Są to: pani Arabka z pobliskiego "dworu" i jej służąca. Panią można poznać po tym, że idzie pierwsza i z pod jej czarnej peleryny spadającej z głowy błyszczą nowoczesne lakierki, służkę — po tym, że drepcze z tyłu i świeci czarnymi od brudu, gołymi stopami. Oto folklor arabski na prowincji.

Po głównej drodze przecinającej oazę nieprzerwanym sznurem biegną w obie strony samochody: polskie, brytyjskie, hinduskie, irackie, a od czasu do czasu ozdobione czerwoną gwiazdą. Ruch na mostach i skrzyżowaniach reguluje w sposób nowoczesny policja iracka. Gdy jest dzień targowy z okolicznych wiosek, położonych wzdłuż koryta rzeki, przybywają wieśniacy, a z gór pastuchy ze stadami młodych wielbłądów i masą owoców naładowanych na ośle grzbiety. K. przeistacza się w Sodomę. Wrzask wschodniego tłumu, bijatyki między tubylcami, które są likwidowane przez policję iracką przy pomocy kijów, przeraźliwy ryk osłów, wschodnia muzyka w ruchomych bałaganach, gdzie olbrzymie bębny grają pierwszą rolę, skomlenie żebraków, sygnały samochodów zlewają się czasem w jeden diabelski koncert.

Gdy jest niedziela główną drogę zapełniają nasi żołnierze i "Pestki." Tubylcy oglądają tych nieznanych dotąd ludzi o płowych włosach, niebieskich oczach z zaciekawieniem zamaskowanym wschodnią obojętnością. W niebieskich oczach widać nieukrywaną ciekawość. W ślad za każdą "Pestką" biegną pożądliwe spojrzenia bogatych Arabów. Na tym jednak stosunki "towarzyskie" między społeczeństwem a naszym wojskiem się urywają; zbyt wielka jest różnica we wszystkim. Do samego miasta wstęp także jest surowo zakazany. Na straży tego zakazu stoi żandarmeria brytyjska i polska. Przez oazę wolno tylko przejeżdżać trzymając się głównej drogi.



Polska gazeta

Stacja K. jest to punkt końcowy kolei z portu B. — przy Zatoce Perskiej, biegnącej przez Bagdad. Tu jest punkt wyjściowy drogi karawanowej do Iranu. Obecnie stacja jest zawalona sprzętem wojennym idącym do ZSRR. Sprzęt ten jest wyładowywany i przeładowywany na potężne samochody ciężarowe, które zbierając się w "konwoje" wiozą ładunek dalej.

Niedaleko miasta wśród szczerej pustyni jest położona nowoczesna rafineria zbudowana przez Niemców w 1938 roku. Do rafinerii jest przeciągnięty rurociąg z pól naftowych w K. Rafineria zaś odprowadza gotowe wyroby rurociągiem do stacyj. Dalej wyroby naftowe odpływają koleją do Zatoki Perskiej. Tym się tłumaczy, że tu jest szosa, która za miasteczkiem B. urywa, co tworzy między nim a stolicą kraju kilkudziesięciokilometrową pustkę komunikacyjną. Bowiem przed wojną tylko tu były potrzebne samochody, które kursowały między rafinerią a K. i Q. R.

Aby przy tej okazji dać pełny obraz produkcji naftowej Iraku należy powiedzieć, że pola naftowe K. to są jedynie drugorzędne, przynoszą nieznaczny odsetek ogólnej produkcji kraju. Główne pola naftowe są położone na północy, w rejonie Mosulu. Stamtąd biegnie rurociąg do portów Morza Śródziemnego: Haify i Bejrutu. Rurociągiem tym płynie około 30 milionów ton produktów naftowych rocznie. Tak pola naftowe w Mosulu jak i rafineria w K. są ubezpieczane przez oddziały polskie.

Skupienie oddziałów Armii Polskiej w rejonie K. jest to nie pierwszy historyczny wypadek zatrzymywania się dużych mas wojska idących bądź na Wschód bądź na Zachód. Tu stanął Cyrus wyznaczając ten rejon, jako rejon koncentracji swych armii przed pochodem do Azji Mniejszej; tu biwakował Aleksander Macedoński przed wkroczeniem do Persji; tu rozbił swój obóz chan Hulagu przed szturmem na Bagdad, wysyłając stąd żądanie poddania się bez boju. Teraz tu zatrzymała się część Armii Polskiej w drodze do Ojczyzny.

Historia się powtarza. Tak Cyrus jak i chan mongolski gros swych sił skoncentrowali w rejonie K. wysyłając straże przednie na przeprawę pod Q. Obecnie jest dokładnie to samo. Większa część Armii Polskiej stoi w rejonie K., mniejsza w rejonie Q. Jedynie Aleksander Wielki — ponieważ szedł na Wschód — swe główne siły zatrzymał w Q., wysyłając ubezpieczenia w rejon K. Obszar ten dawno już został nazwany Wrotami Historii, bo tędy biegnie najkrótsza trasa z przełęczy górskich Iranu do przeprawy przez Tygrys pod Bagdadem. Obecnie historia Polski kroczy przez te wrota Dziejów.

Lecz oto kończy się oaza otoczona ze wszystkich stron namiotami polskimi, oraz rejon rafinerii zbudowanej przez Niemców, strzeżonej przez Polaków. Zaczyna się znowu pustynia. Na skraju ostatnich rzędów namiotów jest miejsce wiecznego spoczynku Polaków i Hindusów, którym los nie dał zobaczyć ponownie swej ojczyzny.



Miś przyjaciel

Polacy są chowani na specjalnym cmentarzu. Nad każdą mogiłą z kamieni, jest skromny drewniany krzyż. Krzyże są wyrównane w szeregi. Żołnierze i "Pestki" śpią w karnym ordynku. Przypomina się komenda "Baczność." Wieczorem cmentarz przykrywa długi fioletowy cień pobliskiego grzbietu . . .

W pobliżu, na skraju płaskowyża, w którym dolina rzeki H. wyrzeźbiła piękną, lecz smętną dolinę, znajduje się miejsce rytualnego palenia odeszłych w krainę cieni Hindusów.

Przeciętnie raz na dwa tygodnie odbywa się tu smutna, lecz pełna godności, a równocześnie grozy ceremonia. Samochód ciężarowy przywozi zmarłego żołnierza-Hindusa. Ten sam samochód przywozi drzewo pochodzące z Indyj. Drzewo jest układane w stos, rozmiarów 2 metrów kwadratowych. Gdy stos osiągnie wysokość około metra, na jego powierzchnię koledzy kładą zmarłego. Jeden z kolegów obrzuca ciało margaryną, na czoło kładzie kawałek mydła. Ciało jeszcze okrywają drzewem za wyjątkiem głowy. Na koniec wszystko oblewa się benzyną i podpala. Po kwadransie wśród syku płomieni widać i słychać jak pękają oczy, poczym niebawem twarz nieboszczyka zaczyna śmiać się. Na skutek gorąca, poprzednio woskowa i martwa twarz nieboszczyka zaczyna się rumienić, kurczy się w grymas podobny do śmiechu i wreszcie otwierają się usta ukazując zęby. Twarz się śmieje. Jest to oznaka, że dusza trafiła do raju. Towarzysze zmarłego oddają mu ukłon wojskowy, siadają do samochodu i odjeżdżają od płonącego stosu. Jeszcze godzina i na miejscu palenia zwłok pozostaje cienka warstwa jasnoszarego popiołu. Tego samego dnia, wiatr rozniesie popiół i na miejscu nie pozostanie nic . . .

Nieraz ten ponury, lecz wzniosły ceremoniał odbywa się przy głosie pieśni "W mogile ciemnej . . ." Nieraz, gdy ciało polskiego żołnierza jest opuszczane do dołu, na pobliskim wzgórzu widać wysoki słup dymu. Oto jeszcze jedno ogniwo braterstwa broni.

Za tym cmentarzem i hinduskim miejscem palenia ciał ponownie zaczyna się pustynia. Jest to dalekie podgórze grzbietu Z. Teren powoli podnosi się w kierunku wschodnim. Każda kolejna fałda terenu lub grzbietu jest wyższa. Doliny są coraz węższe, o bardziej urwistych zboczach i szpary w skałach więcej dzikie. Granitowe formacje coraz częściej zastępuje piaskowiec. Od czasu do czasu na powierzchni wypolerowanych przez czas skał, widać długie pasy lśniącej, białej porcelany, którą jakaś potężna siła wtłoczyła w stanie płynnym między warstwy granitu.

Jeszcze pięć-siedem kilometrów takiej orgii terenowej warstw, skał, zdruzgotanych głazów i zwałów kamieni, jeszcze kilka zgasłych przed wiekami wulkanów o zasypanych i zniekształconych kraterach i na skraju kamienistej drogi widać ponurą wieżę wybudowaną z nieociosanych kamieni, wrośniętą w kamienisty grunt. Jest to strażnica graniczna. Dalej biegnie taki sam teren, lecz należący już do Iranu.

Stojąc na ostatnim wzniesieniu można podziwiać wspaniałą panoramę gór Z. ciągnących się wysokim, poszczerbionym przez wieki grzbietem. Teraz dopiero można stwierdzić, że góry te całkiem nie są podobne do Tatr. Nie ma jodłowych i świerkowych lasów. U podnóża nie ma wesołych potoków z szumiącą wodą. Nie ma góralskich zagród, połonin i baranów w dolinach o zielonej trawie. W górach tych nie ma pogody ducha, jaka jest w Tatrach. Nie ma życia, nie ma radości i uśmiechu. Są to martwe olbrzymy, granitowe grzbiety leżące w ruinie, z ich stoków spływają potężne strugi kamieni, głazów, a nawet skał o kilkunastu metrach średnicy. Jest to dzieło erozji trwającej miliony lat.

Jak okiem sięgnąć popękane granie tworzące dzikie szpary i szczeliny — siedliska sępów i szakali — ponure, nieraz czarne wewnątrz wąwozy, długie granitowe i zupełnie puste zbocza.

Za pierwszym grzbietem wyrasta drugi, wyższy, z lekka zamglony, koloru fioletowego, bardziej tajemniczy i zagadkowy. Całość jest niewątpliwie piękna, tworzy niezrównaną grę kolorów. Jedynie tęcza dorównuje tej grze. Połacie śniegu są srebrzyście białe, zbocza



Pustynna zdobycz

żółte, czerwone, fioletowe, niebieskie. Szczeliny czarne. Między tymi kolorami cała gama pośrednich odcieni, które co chwila zmieniają natężenie.

Pamiętam, jak przed ostatecznym natarciem na Narwik ukazała się zorza polarna. Był to dla nas dobry znak. Tam jednak te kolory były bardziej subtelne, były bardziej miękkie lecz nieuchwytne.

Szczególnie piękny jest tu wschód i zachód słońca. Gdy jest wschód, jasny róż walczy z ciemnym fioletem. Długie smugi różu zwycięsko wdzierają się w fiolet, rozcieńczają go i pędzą w doliny, wąwozy i szpary górskie. Odwrotnie, gdy jest zachód, fiolet jak zło idące z dołu wysuwa w jasne połacie swe długie macki, otacza zbocza, powoli wdziera się coraz wyżej i wyżej i dusi powoli, lecz ciągle coraz to mniejsze skrawki jasnych barw beznadziejnie walczące o przetrwanie.

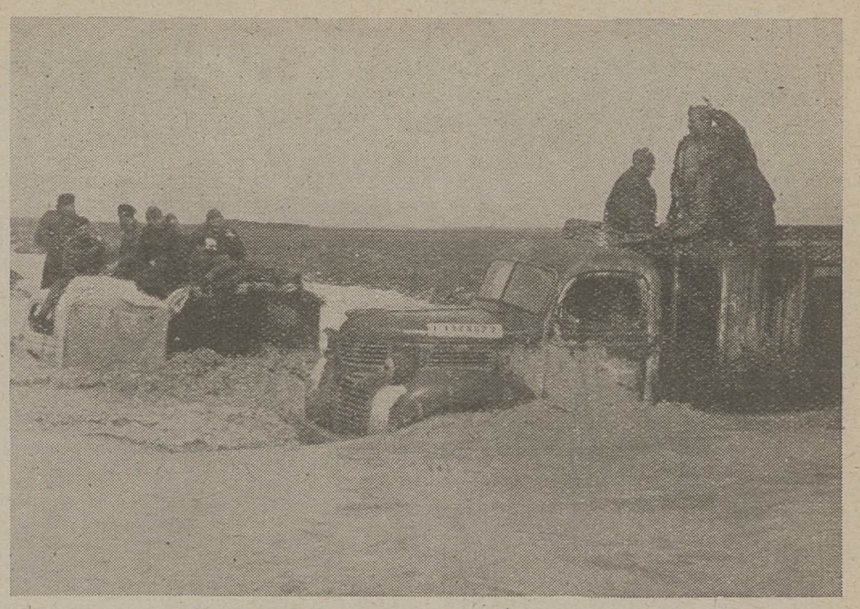


Przelotne ptaki . . .

Obraz życia Armii Polskiej na Wschodzie nie byłby pełny gdyby nie została opisana noc. Bądź co bądź to połowa naszego życia. Dziwnie ona tu wygląda. Nie ma wieczoru. Ledwie zgasną ostatnie promienie słońca, już czarna otchłań nocy niepodzielnie panuje nad okolicą. W zimie temperatura z 15-18 stopni gwałtownie spada i dochodzi niemal do 0 stopni. W namiotach staje się zimno.

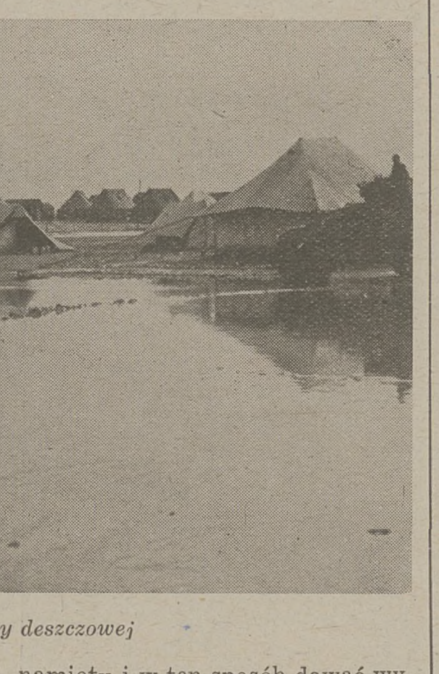
Lecz oto wschodzi księżyc. Jasny. Duży. Okolica tonie w seledynie i błękicie. Gdy się wejdzie na wzniesienie, roztacza się znowu niesamowity widok. Wszędzie widać płomienie palącej się ropy naftowej. Ciemno czerwone płomienie wydostają się z kominów kuchen, w których zaczynają gotować śniadanie na nadchodzący dzień. Płomienie odrywają się niby kawałkami i mieszają się z czarnym dymem oświetlając go także na czerwono. Płomieniami jest usiana okolica nieomal tak, jak w dzień pasami bieli namiotów. Te ognie ciągną się na dziesiątki kilometrów i dopiero na dalekich, bardzo dalekich grzbietach są widoczne jako ogniste punkty.

Teraz z najbliższego wzniesienia zaczyna się donosić płacz i krzyk dziecka. Myślałby kto, że ktoś katuje to dziecko. Do tego głosu dołącza się drugi, trzeci, dziesiąty. Płacz przeistacza się w denerwujące wycie, chichot, skomlenie, szczekanie. Potem wszystkie te dźwięki przechodzą w rytmiczne szlochy, aby z kolei przejść w płacz setek głodnych i konających dzieci. To jest wycie szakali.



Po burzy piaskowej

Zaczynają podchodzić pod same namioty i w ten sposób dawać wyraz swym uczuciom. Gdy ludzie ułożą się do snu, szakale wdzierają się do obozów. Warczą pod namiotami, wywracają skrzynki z odpadkami i pożerają wszystko, co tylko jest możliwe do strawienia, dzwoniąc zębami.



Po nawałnicy deszczowej

Ileż to razy nie można było zasnąć, słychać było bowiem jak szakale chodzą pod namiotami, mrucząc z niezadowolenia, że arabski żebrak zjadł za dnia całą zawartość śmietnika.

Po wyjściu z rejonów namiotów, szakale znowu zaczynają swoje przejmujące wycie. I tak do rana. I tak każdej nocy. Każda zwierzyna, która zdechnie lub jest przejechana przez samochód, w nocy jest pożerana przez szakale i dnia następnego widać tylko biały szkielet.

Wreszcie ostatnia ilustracja z życia polskiego żołnierza na Wschodzie. Okresowe burze . . . Zdarzają się one na przełomie pory, letniej i zimowej — powiedzmy "na jesieni." Nagle zrywa się wiatr . . . Niebo nie zaciąga się chmurami; szybko jednak zmienia kolor na żółtawy, a następnie na czerwonawy. To masy piasku i glinki wzniesione do góry zrywami wiatru zabarwiają niebo na te kolory.

Okolica przybiera ponury i straszliwy wygląd. Wkrótce nikną z oczu dalej położone pagórki, następnie nawet najbliższe znikają w czerwonawym tumanie. Podmuchy wiatru przechodzą w zrywy huraganu, który z dzikim wizgiem i wyciem niesie coraz nowe masy czerwonawej glinki. Kamienie wielkości pięści zaczynają się toczyć po ziemi. Nad ziemią zapada czerwony zmrok.

Ludzie z całej siły trzymają swe nędzne w porównaniu z tym straszliwym żywiołem namioty. Niezawsze to pomaga. Nieraz szeregi namiotów kładą się jak kłosy. Ciężkie płachty brezentowe znikają w górze. Wszystko co żyje kładzie się na ziemię, chowa się pod brezenty i korzy się przed tym wściekłym tańcem, z trwogą wsłuchując się w orgię ponurych i złowrogich dźwięków.

Po tej burzy spada "deszcz." Dziwny to jest deszcz. Nie "składa się" z kropel. Są to duże bąble wody o średnicy 3 — 4 cm. Padają nadzwyczaj rzadko — jeden od drugiego w odległości 2 — 3 metrów. Gdy taki bąbel uderzy w pokrytą cienką warstwą glinki i piasku twarz, tworzy z niej maskę gliniastego błota. Drugi bąbel spadający za kołnierz powoduje, że plecy pokrywają się grubą warstwą czerwonawej lepiącej się mazi. Nieprzyjemne uczucie . . .

Lecz oto burza przeleciała . . . Jakaż różnica jest między tą chwilą u nas w Polsce a tą samą, tam w Iraku. Nie ma kłębiących się na niebie zwałów ołowianych chmur, między którymi zaczyna przebijać słońce . . . Nie ma radosnego śpiewu ptaków, nie ma czystego i ostrego powietrza, nie ma kropel na liściach i trawie . . . Nie ma wreszcie tęczy, radości życia i pogody . . . Nad ziemią stoi ponura, nieruchoma, ciężka — koloru ceglastego — warstwa cząsteczek gleby powoli opadających. Na słońce nie można patrzeć bez okularów. Jest to rubinowa tarcza . . .

Obozy przedstawiają żałosny widok. Namioty porozrzucane, zewsząd wyłażą postacie ludzkie, które zaczynają zbierać swój dorobek, sprzątać z niego piasek i doprowadzać sprzęt do stanu używalności. Beznadziejna to i syzyfowa praca. Smutek wieje od wszystkiego i panuje nad wszystkim . . . W oczach, uszach, zębach jest piasek. Wymyć się nie ma możliwości. We wszystkich rzekach zamiast wody płynie mętna masa, która swym wyglądem zewnętrznym do złudzenia przypomina kawę z mlekiem. Ta masa zaczerpnięta do wiadra, musi się odstać w ciągu nocy, aby dopiero nazajutrz stać się mętną wodą. Na dnie wiadra pozostaje twarda warstwa mułu, który trzeba krajać nożem, a następnie kawałkami wyrzucać . . .

W porze zimowej burze mają mniejsze nasilenie, jednak od czasu do czasu także dają się we znaki. Na zmianę z tymi burzami przychodzi błoto. Wewnątrz namiotów panuje wtedy jeden wielki koszmar. Gliniaste błoto powoli, z ziemi, po butach i spodniach lezie do góry na łóżko, pościel, rzeczy i jak zmora stara się pokryć wszystko . . .

Teraz tam jest lato. Między godziną 10 a 4 po południu, cała Armia Polska leży pokotem w namiotach bez ubrania, bez ruchu, w bezwładzie ciała, ciężko oddychając. Żołnierze mokrymi od potu ręcznikami ocierają czoła . . . Wszystkie wejścia namiotów są otwarte dla przewiewu. Mimo to nie ma czym oddychać . . . Pustynia szkli się; dalsze grzbiety drgają w rozżarzonym powietrzu. Nawet skorpiony pochowały się w rozpadlinach skalnych.

Oto jest dola żołnierza polskiego. A jednak wszyscy przyszli już do siebie po tym co było . . . Tego, co jest nie można porównać z tym, co pozostało wspomnieniem. Stan fizyczny żołnierzy jest doskonały mimo, a może właśnie dzięki ciężkim warunkom bytowania na pustyni.

Duch wojska jest wspaniały. Karność na poziomie wojska wrześniowego. Wspólna dola i niedola łączy wszystkich żołnierzy, począwszy od generałów, którzy w czasie burz także muszą trzymać swe "kwatery," a skończywszy na rekrutach ostatniego zaciągu, stworzyła nierozerwalne więzi wzajemnego zrozumienia, poczucie solidarności i szacunku żołnierskiego. Praca i to ciężka praca idzie w kierunku pogłębienia wyszkolenia i opanowania nowoczesnego sprzętu, w który jest uzbrojona Armia Polska na Wschodzie.

Gdy wreszcie przyjdzie szczęśliwa chwila, gdy można będzie użyć tego sprzętu będzie on opanowany w zupełności. Chwila ta zbliża się olbrzymimi krokami . . . Wszyscy wiedzą o tym i czekają tu na nią z powagą i spokojem.

ARNOLD JASKOWSKI

---

*Por. nr. 33 i 36 "Polski Walczącej" z b.r.

Rozpoznać!

F/Lt. Zbigniewowi Whisky poświęcam.

Jest wczesno-wiosenny dzień 1941 roku. Gwałtowne wiatry, wiejące z niezmierzonych pustaci Oceanu Lodowatego rozkołysały dziś Morze Północne w potężne fale. Nisko nawisłe, ołowiane chmury przesłoniły blade, północne słońce.

Przed kąśliwymi podmuchami złego, północnego wiatru pouciekały w zacisza portów rybackie kutry a patrolujące na morzu destroyery walczą z wysoką falą zalewającą ich otwarte mostki bryzgami piany, ścinającej się w lodowe igły. Poukrywały się warty i placówki strzegące północno-wschodnich brzegów Szkocji. Powchodzili pod płótna namiotów mechanicy przygotowujący maszyny do lotu. Wiadomo, że w taką porę nie będzie żadnych lotów.

W *operation room'ie* panuje miły spokój. Grube szyby odgradzają pracujących w nim oficerów od podmuchu szalejącej wichury, a kominki zapewniają błogie ciepło. Ale atmosfera *operation room'u* jest daleka od nastroju błogości. Właśnie przed chwilą *Intelligence* prosił o stwierdzenie, czy otrzymana sekretną, angielskiej służbie wywiadowczej tylko wiadomą drogą wiadomość, że niemiecki pancernik "Bismarck" opuścił norweskie fiordy — jest wiadomością prawdziwą.

Dowódca Stacji Królewskiego Lotnictwa utkwił swe zasępione oczy w twarzy Dowódcy Rozpoznawczego Fotograficznego *Flight'u*. Nie wymieniają słów. Obaj rozumieją się dobrze. Obaj wiedzą, że pojawienie się na trasie angielskich konwojów niemieckiego pancernika oznaczać będzie śmierć setek marynarzy i stratę dziesiątka cennych, niezastąpionych transportowców. Cały konwój może być po prostu wystrzelany — jak na poligonie — przez potężny pancernik niemiecki.

A więc należy rozpoznać!

Głowy dowódców pochylają się nad komunikatem meteorologicznym. Rozpoznać — to znaczy wysłać samolot. Wysłać samolot to znaczy skazać go na pewną śmierć. Warunki oblodzenia na Morzu Północnym w takiej burzy jak dziś — wiadomo . . . A jednak. Konwoje muszą przejść! Konwoje muszą być chronione! Konwoje są krwią zasilającą organizm walczącej Wyspy. Cóż znaczy utrata nawet całego *Flight'u* wobec możliwości utraty całego konwoju.

Dowódca *Flight'u* Fotograficznego czyta dojrzewającą decyzję w zasępionych oczach Dowódcy Stacji. Obaj powstają. Słowa, które padają teraz są tylko potwierdzeniem tego, co już powiedziały sobie oczy. Gdy tak stoją naprzeciw siebie, są jakby żywym symbolem Słowa, które jest wielkością i siłą Imperium: *DUTY*.

Flight-sergeant Han, wesoły londyński *cockney* po raz pierwszy dopuszcza się prawie jawnej niesubordynacji. Co? Zapuszczać i nagrzać motory "Spitfire'ów" F/Lt. Michel-a i F/O Whisky? W taką pogodę? Dowódca *Flight'u* musi mu raz jeszcze powtórzyć rozkaz i *flight-sergeant* Han rozumie, że musiało się stać coś niezwykłego, coś, co wykracza poza zakres pojęć zakochanego w swych "Spitfire'ach" szefa mechaników.

Siedzimy w kancelarii *Flight'u*, która jest równocześnie naszym *crew-room'em*. Piloci wyznaczonych maszyn, Szkot Michel i Polak Zbyszek, którego przydługie i zbyt trudne dla angielskiego ucha nazwisko zostało przerobione na mile i łatwo brzmiące: Whisky — szykują się do lotu. Michel pali swą nierozłączną fajkę, a Zbyszek-Whisky "*enjoy'uje*" kubek gorącego "Bovril'u" przyrządzonego ze znawstwem przez wysokiego, smukłego Kanadyjczyka, Bob'a.

Michel i Whisky zaczynają wciągać na siebie swój lotniczy ekwipunek na północne loty. A więc ciepłe swetry, grube skarpetki, szale. Na to wszystko wciągają futrzane buty, spodnie i kurtki. Wyglądają bardzo niezgrabnie i z trudem się mogą poruszać pod warstwami ciepłej odzieży. Zapinamy im szelki spadochronów i pomagamy wsiąść do maszyn.

Podświadomie czujemy się winni, jakby dłużni wobec tych dwóch. Rozumowo wiemy, że uczucie nasze jest bezsensowne, że na takie zadanie musieli pójść najlepsi piloci, a właśnie oni są najlepszymi wśród nas. Ale nad rozumowaniem góruje uczucie jakby winy, że my oto wrócimy za chwilę do ciepłej kancelarii, do gorących kubków "Bovril'u," do naszych fajek i kart, gdy oni będą wykonywali swój beznadziejny, nie mający żadnych szans powodzenia, straceńczy lot.

* * *

Nad pustaciami Morza Północnego niesie się samotny "Spitfire." Jeszcze bardziej samotny jest jego pilot. Tu nie ma wesołego zżycia się i zgrania załogi, jak w lecącym na zadanie bombowcu. Tu nie wesprą go w krytycznej chwili ufne oczy kolegów z załogi. Tu nie pośpieszą w potrzebie czujne, chętne, gotowe do niesienia pomocy ręce *co-pilota*, nawigatora czy strzelca! Tu niczyje palce nie złożą się w magiczne hasło "*thumbs up.*" Tu *inter-com* nie zaszemrze przyjaznymi głosami załogi. Pilot jest sam. Odcięty od świata, zawieszony w próżni pomiędzy ołowianymi chmurami i szarozieloną rozchwieją wód Północnego Morza. Uczucie samotności powiększa jeszcze brak najwierniejszych towarzyszy pilota: karabinów maszynowych. Pilot fotograficznego "Spitfire'a" nie posiada ani uzbrojenia, ani radiostacji, ani nawet zwykłej *dinghy*. Posiada zespół aparatów foto i dodatkowe zbiorniki paliwa.

Tak wyekwipowany leci Whisky na odnalezienie pancernika, chronionego ogniem własnej artylerii przeciwlotniczej, ogniem broniących go destroyerów i zasłoną patroli myśliwskich "Messerschmitt'ów." Ogniowi dział pancernika i śmiercionośnym strugom karabinów maszynowych Me. — przeciwstawić może tylko swoje obiektywy fotograficznych kamer, swą szybkość i zdolność błyskawicznego, niezawodnego manewru.

* * *

Siedzimy w ciepłej kancelarii, która jest równocześnie naszym *crew-room'em* i myśli nasze są przy "Spitfire'ach," które wyszły na rozpoznanie pancernika. Czujemy się jakby winni i dłużni wobec tamtych dwóch, którzy są teraz daleko nad Północnym Morzem zdani tylko na własne swe siły.

* * *

Nad pustaciami Morza Północnego niesie się samotny "Spitfire." Niesie się wysoko nad ołowianymi, burzowymi chmurami! Whisky przebił szczęśliwie grożące oblodzeniem warstwy kumulusów i teraz wyszedłszy na wysokość 2700 stóp może spokojnie kontynuować swój lot. Może tak lecieć, wysoko ponad szalejącą w dole burzą, aż do chwili, gdy zegarek powie mu, że jest już nad celem. Wtedy musi zejść — nie może fotografować przez grube na tysiące stóp warstwy chmur.

Powoli upływają minuty, kwadranse, godziny. Równo, jednostajnie śpiewa swą pieśń potężny 1000-konny motor, zwycięskim łomotem grają śmigła, miarowo, statecznie pulsują wskazówki czujnych przyrządów. Zawieszony w próżni "Spitfire" zbliża się stale, niezmiennie, uparcie ku swemu dalekiemu celowi — ku skalistym fiordom Norwegii.

Whisky przemienił się cały w wzrok. Obniża wysokość lotu, tak, by nie pozostawiać za sobą zdradzającego go *condensation trail'u*. Zamienił się teraz tylko w oczy. Zamienił się cały w czujność drapieżnych oczu. Teraz wszystko zależy od tego, kto pierwszy dostrzeże przeciwnika! Czy samotny pilot pierwszy dostrzeże patrolujące Me i skryje się za zasłonę chmur, czy patrolujący myśliwcy zdążą mu posłać śmiertelną wiązkę pocisków, zanim zostaną odkryci.

* * *

Siedzimy w ciepłej kancelarii *Flight'u*, która jest równocześnie naszym *crew-room'em*. Jim i Bob szykują się do lotu. My, załogi *bloody'ch* "Blenheim'ów," wiemy, że to robota nie dla nas — i czujemy się bardzo zawstydzeni. Nie pamiętamy naszych poprzednich lotów i staramy się zajmować jak najmniej miejsca w *crew-room'ie*. Proponujemy szykującym się do lotu "Spitfire'owcom" pożyczenie naszych najcieplejszych, najlepszych, prywatnych części lotniczego ekwipunku, jak futrzane rękawice, szale, wielbłądzie skarpetki.

* * *

Nad pustaciami Morza Północnego niesie się samotny "Spitfire." W pewnej chwili, pilot przerywa omiatanie wzrokiem pustego horyzontu i kieruje swój wzrok w dół, do kabiny. Patrzy na zegarek i mapę. Czas. Raz jeszcze omiata oczyma horyzont. Pustka.

Oddaje stery. "Spitfire" w ostrej pice pruje w dół. Rozbiegają się wskazówki przyrządów. 260 — 270 — 280 — 290 chełpi się szybkościomierz. 23000—20000—16000 — 10000 — 6000 — 5000 alarmuje wysokościomierz. 3000 stóp — samolot leci w puszystej białej mgle przesyconej wodą krystalizującą się w igiełki lodu pod wpływem zetknięcia z powierzchnią samolotu. 2000 stóp — szron osiada na szybach kabiny, drobniutkie igiełki lodu, pierwsze ostrzeżenie, okrywają płaty samolotu. 1500 stóp — kryształki lodu rozkwitają w pęki kwiatów okrywających błękitno-biały samolot. Szybkościomierz opada na zero — to już zdążyły obmarznąć przewody powodujące różnicę ciśnień, samolot leci w puszystej białej mgle. 800 stóp — samolot wypada z chmur.

W dole zielenią się fale Morza Północnego, bieleją srebrne piany wysokich grzywaczy. W słabym, ograniczonym złą widzialnością kole horyzontu czernieją niewyraźne zarysy gór. To Norwegia.

Latanie w fiordach nawet przy dobrej widoczności nie należy do miłych rozrywek. Na szczęście Whisky zna dobrze "swój rewir." Lecąc wzdłuż skalistych brzegów odnajduje wejście do znanego mu dobrze fiordu. Przelatuje nad lotniskiem niemieckich myśliwców. Innej drogi dziś nie ma. Szczyty gór otaczających wejście do fiordu toną w nisko idących chmurach. Leci tak nisko, że początkowo Niemcy biorą go za własną, powracającą z patrolu maszynę. Gdy dostrzegają pomyłkę i otwierają ogień — "Spitfire" jest już za załomem skał, już leci wzdłuż fiordu, napełniając go łoskotem pracującego na *emergency boost'cie* motoru.

Jest już w połowie fiordu. Tu, pod wysoką skalną ścianą, poza zasłoną siatek przeciwtorpedowych, pod czujną strażą destroyerów i opieką armat przeciwlotniczych, rozmieszczonych na skałach i na zakotwiczonych kutrach rybackich, jeszcze wczoraj, stała duma i chluba niemieckiej floty wojennej: pancernik "Bismarck." Teraz miejsce jest puste. Widać wyraźnie rozsuniętą bramę w przeciwtorpedowych sieciach. Tędy wyszedł. Whisky przestawia na "*on*" włączniki swych fotograficznych aparatów. Samotny "Spitfire" leci wzdłuż fiordu w ogniu wszystkich dział i karabinów maszynowych, które stanowiły osłonę zakotwiczonego tu pancernika.

Fiord kończy się górami, których strome szczyty dochodzą do wysokości 6000 stóp. Whisky wie, że nie przeciągnie "Spitfire'a" przez góry — nie może też ryzykować wejścia w mgłę nad norweskimi szczytami. Kładzie maszynę w ostry skręt. Fiord ma tylko paręset stóp szerokości. "Spitfire" leży w ściągniętym ciasno skręcie, drżą w naprężeniu jego cienkie, jak noże płaty. Dolina rozbrzmiewa jękiem motoru i szybkimi odgłosami wystrzałów. "Spitfire" mija ścianę fiordu o kilkanaście stóp.

I znów samotny pilot defiluje na nieuzbrojonej maszynie przez całą długość fiordu. Tym razem artyleria zmienia taktykę — już nie starają się trafić w szybko lecącą maszynę. Kładą zaporę ogniową w poprzek fiordu. Zamykają go czarnymi dymkami rozrywających się pocisków. Ale i Whisky zmienia taktykę. "Spitfire" przelatuje nad zakotwiczonymi kutrami na wysokości ich niskich masztów — pociski rozrywają się wysoko nad nim.

Na tejże wysokości wlatuje nad lotnisko, mija je w chwili, gdy startujące na alarm "Messerschmitt'y" odrywają się od ziemi. "Spitfire" leci na czele klucza "Messerschmitt'ów." Artyleria milknie, bojąc się, by nie zestrzelić własnych myśliwców. "Spitfire" prowadzi trójkę Me.

Whisky widzi po obu bokach swego samolotu szare ściegi przetykane złotymi iskierkami — to smugowe pociski następujących za nim Me. Chmury są tuż, tuż nad nim, ale Whisky wie, że podciągnięta maszyna stanowiłaby idealny cel. Leci nisko, tuż nad wodą, przerzuca maszynę ze skrętu w skręt, by utrudnić wzięcie go na cel. W lusterku widzi kwadratowe mordy kadłubów ścigających go maszyn i złote ogniki strzelających karabinów.

Pogoń trwa. Różnica szybkości jest za mała, by "Spitfire" mógł wyjść goniącym z pola widzenia, ale jest dostateczna, by goniący nie mogli podejść na odległość skutecznego ognia swych karabinów.

Pogoń trwa. W pewnej chwili samotny pilot decyduje, że dzieląca odległość pozwoli mu przebyć te kilkaset stóp dzielących go od zbawczych chmur. "Spitfire" zdarty w ostrej świecy przechodzi przed goniącymi Me. w górę, pozwala się minąć — i wpada w zasłonę chmur.

Pilot przymyka *emergency boost*. Ryk motoru przechodzi w normalny, "cichy" szum. Oczy pilota kontrolują wskazówki licznych zegarów. Nie wszystkie są na swym miejscu. Za wysoka jest temperatura głowic i za niskie jest ciśnienie oleju. Czyżby przestrzelono mu któryś z przewodów? A może chłodnicę oleju? Jak długo może jeszcze silnik pracować w tych warunkach? Czy ciśnienie będzie opadało? Do jakiej granicy? Ile minut lotu ma jeszcze zapewnionych w tych warunkach?

Do Szwecji — i bezpiecznego internowania — tylko dwadzieścia minut lotu. Do bazy dwie godziny lotu przez Północne, rozszalałe burzami, Morze. Dwie długie godziny lotu na jednomotorowym samolocie, z temperaturą głowic powyżej 140 stopni i z opadającym ciśnieniem oleju. Wybór jest jasny i prosty.

Ale Whisky wie, że jeśli on nie przywiezie zdjęć—po południu polecą Jim i Bob. I wie, że szkopy pilnujące fiordu, teraz po jego wizycie będą czujni, jak szatany, że o zaskoczeniu ich już nie może być mowy, że jeśli nawet Jim i Bob dolecą do fiordu — to na pewno już z niego nie wyjdą. A jeśli nie wrócą Jim i Bob, to na drugi dzień wystartują *bloody*" Blenheim'y", a te już nie będą miały żadnej szansy nawet wejścia do fiordu.

Whisky wie, że sprawa obecności, czy nieobecności pancernika w fiordzie jest sprawą tak ważną, iż będzie musiała być wykryta, nawet gdyby na Stacji miał nie pozostać ani jeden samolot. Na niepewnym silniku oddala się od bezpiecznej Szwecji. Ustawia kurs na swój daleki cel — Stację Królewskiego Lotnictwa.

* * *

Siedzimy w ciepłej kancelarii *Flight'u*, która jest równocześnie naszym *crew-room'em*. Jim i Bob są gotowi do lotu. Mechanicy już zapuścili i grzeją motory ich maszyn. Jeśli Whisky nie powróci za dziesięć minut — startuje następna para.

Siedzimy w *crew-room'ie*, dymią papierosy i fajki. Powoli, statecznie cyka wielki, ścienny zegar. Zatrząsł się hangar od huku przelatującej tuż nad nim maszyny.

Wypadamy wszyscy na dwór. Błękitno biały "Spitfire" wystrzelił ostrą piką z poza trzeciego hangaru. Leci nad messę. Za chwilę wali się ostrą piką nad sam dach oficerskiej messy. Wiemy: to Whisky zawiadamia w ten sposób WAAF'ki, by przygotowały dlań *lovely cup of tea*. Raz jeszcze "Spitfire" pikuje nad Dowództwo Stacji, odlatuje parę mil, zawraca, wychodzi na kierunek lądowania. Ląduje.

Od laboratorium pędzi stary, rozklekotany "Humber." To fotolaboranci pędzą po swój łup: filmy. "Spitfire" kołuje pod hangar. Whisky rzuca tylko jedno słowo: "Wyszedł" — wiemy kogo ma na myśli — i odjeżdża z dowódcą *Flight'u* do *operation roomu*.

Flight-sergeant Han ogląda pilnie swe ukochane dziecię. W pewnej chwili przyzywa nas gestami. Podchodzimy. "*Flight*" popokazuje nam przestrzeliny w sterach, płatach, lotkach. Stary szef mechaników z rozczuleniem głaszcze ostre, jak noże płaty:

—"*She is a lovely plane— she will always come back, and Whisky is a pilot, too*" — wyższych pochwał *Flight-sergeant* Han z zasady nie udzielał.

W laboratorium foto wywołano film dokumentujący niezbicie wyjście pancernika w morze. Rozjęczały się anteny od szybkich, szyfrowanych meldunków i rozkazów. Cała *Coastal Command* została poderwana, wpadając w szał patrolowania. Nazajutrz wyszły nie tylko wszystkie "Hudsony," "Blenheim'y," "Bofort'y" i "Whitley'e," ale nawet zastanawiano się, czy nie wysłać i Bogu ducha winnych "Avro-Anson'ów." "Bismarck" został wykryty, odnaleziony, umiejscowiony.

Tak zaczęła się krótka i krwawa — pierwsza i ostatnia — podróż pancernika "Bismarck."

BOLESŁAW POMIAN

WIERSZE

LWÓW W EDYNBURGU

Czy to, że tak podobne są jesienne liście,
Czy to, że dojrzeć muszą oczy, kiedy chcą,
Czy to, że wszędzie tobie twój kraj towarzyszy
Wzdłuż dalekiej drogi ponad szkocką mgłą . . .

Lwów widzisz w Edynburgu
W rejonie Dean Parku.
Lwów jest z tobą, Lwów,
Miasto, któreś żegnał przysięgając wrócić,
I jeszcze raz zaprzysiąc dla Lwowa brak tchu.

Tu, w rejonie Dean Parku
Jakby nigdy nic,
Park Stryjski się na stokach ułożył spokojnie,
I miga zielonością, a tak serce dojmie,
Że wszystko, chociaż nic!

I świętojurskie wieże nad stolicą Szkocji.
Patrz, tam w dół opada,
Jesienią poplamiona ulica Sapiehy,
I po Lwowie chodzisz, a to w obcym mieście.
Lwów do nóg ci się tłoczy i rwie się po śladach . . .
W dół, ulicą Sapiehy, tutaj w Edynburgu
Lwów prowadzi ciebie, urzeka i włada.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

NIT

W pancerzu twardy utkwił Nit,
Wciął się weń krzepą swego ciała
I trzyma naprężonym chwytem
Rozdzierającą siłę płyt.
Kiedy przez stal biegają dreszcze,
Gdy każdy atom skacze, drga,
Mały i niepozorny, biały Nit
Zaciska mocno swoje kleszcze.
Bezwiednie kurczy się, tężeje,
Schowany w fałdy metalowe —
Jeden z tysiąca, bardzo ważny
Jak wszystkich tysiąc lśniących rzędów;
Wtłoczony w krtań wąskiego leja,
Wsłuchany w stali cichy skowyt,
Ukrytych praw bezwolny strażnik
Obliczeń, ciśnień, drgań — i błędów.
W pancerzu twardy utkwił Nit —
Wierny służalec przeznaczenia,
Głowę wynurzył z jasnych płyt
I trzyma, trzyma fale drgnień.
Aż poda znak nieznany dzień:
Swe ciało przetnie szczelinami,
Z szyderstwem rzuci ostry zgrzyt,
Rozedrze pancerz, w orgii rytm
Zaklęty, opętany Nit.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Bez blackoutu

Wróciłem niedawno z chwilowego miejsca postoju naszej 1. Dywizji Pancernej. Chwilowe to miejsce było poligonem i terenem manewrów, o których tyle pisano w prasie żołnierskiej, tyle dobrego w prasie brytyjskiej i tyle mówiono . . . złego wśród polskiej emigracji. Zdarzyło się tak, że wizyta moja wypadła właśnie w pierwszych dniach września; każdy dzień tego miesiąca z brutalną siłą odświeżał w pamięci straszliwe zagony pancernych dywizji niemieckich na ziemie polskie w r. 1939. Jeżdżąc w tym piątym już wrześniu, w historycznym roku wojny 1943, z imprezą angielską "Lwowskiej Fali" od miasteczka do miasteczka "somewhere in Great Britain," miałem codzienną okazję rozmów z kolegami z polskiej Dywizji Pancernej, z kierowcami, którzy nas wozili, przygodnymi znajomymi i przyjaciółmi. Przyznaję się że w pierwszych dniach bardzo ostrożnie i chłodno traktowałem te nadspodziewanie radosne i naprawdę krzepiące rozmowy. Mówił mi n.p. plutonowy-podchorąży z błyskiem w oczach: —"Manewry te to były wielkie, niezapomniane dni naszej Dywizji. Wierz mi, powszechnie mówiono, że wróciły najlepsze czasy świetności wojska polskiego."

A ja? Napojony plotkami, kursującymi w Szkocji, wersjami, szerzonymi w Londynie nie wierząc jeszcze w straszliwy bezmiar nieodpowiedzialności emigracyjnej, byłem bardzo ostrożny, potakiwałem tylko w czasie tych rozmów, a w uszach dźwięczały mi głosiki i głosy z dziwną jadowitą jakąś lubością powtarzające: — "Słyszałeś? Zasadnicze błędy. Skandal, nie ćwiczenia! Podobno dowóz żywności . . . szwankował. Podobno oficerowie nie umieli czytać map. Kierowcy pomylili drogi . . ."

Rosło, rosło to, nabrzmiewało do rozmiarów, które trudno określić. Jeżeli to robiła "Piąta Kolumna," to robiła dobrze, imponująco sprawnie; jeżeli kolportowali to sami Polacy, to pobili wszelkie rekordy emigracynej głupoty. Bo też bywały i bywają różne większe i mniejsze "afery," ale oszczercze obrzucanie błotem pierwszej zorganizowanej tu naszej siły pancernej zobowiązuje nas do natychmiastowej i bezkompromisowej reakcji. Szkoda, że w prasie żołnierskiej, poza często pustym słowem reportaży z terenu manewrów, nikt nie poruszył tej niewątpliwie bolesnej i drażliwej sprawy oszczerstwa popełnionego przez emigracyjną głupotę w stosunku do pierwszej polskiej Dywizji Pancernej. Plotka i intryga podały sobie ręce i rozzuchwaliły się na dobre. Wersje rodziły się z dnia na dzień coraz bardziej ohydne: — "Dywizja 'zawaliła' manewry i DLATEGO wraca do dawnych miejsc postoju. Podobno żołnierze nie chcieli wyjść na pole, wyszedł za to skandal wobec Anglików."

Brak mi słów. Dom wariatów, czy krąg intryg, z którego nie ma drogi odwrotu? Przyznaję się, że w momencie przybycia na teren chwilowego postoju Dywizji, sam byłem napojony jadem oszczerczym, byłem zaczadzony dymem pogłosek, trucizny. Po kilku dopiero dniach przyszedłem do formy, zacząłem baczniej przyglądać się sprawom i ludziom, pilniej słuchać żołnierskich, koleżeńskich opowiadań, mało tego, postanowiłem uzyskać informacje bliższe, bardziej dokładne w sztabie Dywizji. Uważałem to za prymitywny obowiązek Polaka, uważałem to za prostą uczciwość, która każe demaskować każde kłamstwo, a cóż dopiero popełnione w takiej skali, wymierzone w godność i honor z takim trudem stworzonej pierwszej wielkiej polskiej jednostki pancernej. Plotkarze i oszczercy posłuchajcie; oto głosy żołnierzy tej samej Dywizji:

SIERŻANT-SZEF: "Wzruszająca była ta ambicja żołnierska naszych pancerniaków. Żywe, pełne oddania zainteresowanie się służbą w czasie tych manewrów było czymś zupełnie nowym i radosnym. Jak człowiek widział na każdym kroku objawy ukochania sprzętu, to raźniej robiło się na duszy. . . ."

KIEROWCA CZOŁGU: "To były najprzyjemniejsze, a równocześnie najbardziej podniosłe chwile, jakie przeżyłem od przybycia do Wielkiej Brytanii. Byliśmy pilnie obserwowani przez Anglików i Kanadyjczyków. Wysokie pochwały ich oficerów zachęcały nas do dalszych wyczynów. Przede wszystkim chwalono sprawność i orientację Polaków. . ."

STRZELEC Z ZAŁOGI CZOŁGU: "To jest wielka rzecz sprawdzić w czasie manewrów niezawodną siłę działania własnej broni, którą codziennie czyściło się i szykowało na taką okazję. Nie możemy nigdy zapomnieć tej przewagi żelaza, która waliła się na nas we wrześniu 1939, ale teraz już wiemy, że jesteśmy uzbrojeni po same zęby. . . ."

KIEROWCA SAMOCHODOWY: "Panie B. szkoda gadać. Nasi 'wykantali' Kanadyjców, aż Anglikańcom oko zbielało. A wie pan, co mnie najwięcej jako starego kierowcę dziwiło? Ta cisza i ten fason, z jakim to się wszystko od przejazdu kolumny aż do 'bitwy' załatwiało. Polaki się zmieniły. Szkoda gadać! Nie było żadnych krzyków, ani tego naszego: "Jasiu ta gdzie jedziesz cholero," ani nawoływań: "Ta cafaj si do tyłu!" Nic — cisza i fason. Po brytyjskiemu. Ale trzeba powiedzieć, że solidna robota z tego wyszła."

PODCHORĄŻY ARTYLERII: "Osiągnąłem z moim działonem najlepszy czas w konkurencji ustawienia działa na stanowisku z przeszkodami. Brały udział w tych zawodach baterie angielskie i kanadyjskie. Pokonując liczne, sztuczne przeszkody przeprowadziliśmy ustawienie działa w najlepszym czasie, bijąc o kilka minut nie tylko Anglików, ale i specjalnie zaprawionych i wytrenowanych Kanadyjczyków. Zawody miały charakter publiczny. Przypatrywały się im tysiączne tłumy publiczności i setki fachowćów. Przypuszczam, że był to niezły koncert propagandowy. . . ."

RADIOTELEGRAFISTA: "Nasz pułkownik nie miał wielu przyjaciół, bo słynął przecież z tego, że żadnego z 'drucików' nie chciał puszczać na studia. Dopiero teraz zrozumieli wszyscy, ile w tym było racji. Łączność nasza dywizyjna na tych manewrach grała tak, że pobiła wszystkie rekordy alianckie. Nie tylko rozjemcy, ale osobiście Szef brytyjskiej łączności stwierdził, że stała ona na najwyższym poziomie sprawności bojowej.

OFICER SZTABU: "Niech pan nie myśli, że rozjemcy brytyjscy byli specjalnie łaskawi na nas, że mieli jakiekolwiek względy. Rozjemcami byli wyłącznie oficerowie armii brytyjskiej, którzy przeszli całą kampanię w Tunisie. Dowódcą rozjemców czyli tak zwanym głównym rozjemcą był brygadier brytyjski, który prowadził w swoim czasie słynne natarcie brygady pancernej pod El Alamein. On to wyraził wobec dowódcy polskiej dywizji pancernej ochotę pozostania na stałe w stopniu pułkownika z Polakami, by "móc pójść razem z tak doskonałym żołnierzem do walki, gdyż największą radością dla oficera jest dowodzenie tego typu wojskiem, jakie reprezentują polscy pancerniacy" . . .

Wystarczy panowie plotkarze, intryganci? A może trzeba wam koniecznie nazwisk i dokumentów? Może emigracyjny dom wariatów uzna, że to wszystko za mało? Więc służę: kierownik ćwiczeń gen. Gammell, dowódca Eastern Command napisał w piśmie służbowym do dowódcy dywizji polskiej: "Zdaniem moim pierwsze ćwiczenie dywizji w pełnym jej składzie wypadło bardzo dobrze. Dywizja od chwili przyjścia do obecnego rejonu zrobiła wielki krok naprzód na drodze do osiągnięcia gotowości bojowej."

Dowódca armii kanadyjskiej, która "walczyła" z Polakami gratulował gen. Maczkowi mówiąc: "Polska może być dumna z takiej dywizji. Uważam że jest to wojsko wyborowe. Wysoko cenię działania dywizji . . ."

Jeden z dowódców pancernej brygady brytyjskiej, który był tylko obserwatorem w czasie ćwiczeń stwierdził, że wyszkolenie poszczególnych żołnierzy polskich, a zwłaszcza P u ł k u R o z p o z n a w c z e g o stoi na bardzo wysokim poziomie, prosił, by mu zdradzić tajemnicę szkolenia żołnierzy, którzy w pracy swej okazują taki zapał i tyle ujmującej wiernej gorliwości.

Fragmenty Rozkazu dziennego Dywizji nr. 39. podpisanego przez generała Maczka brzmią:

. . . Mamy za sobą długie miesiące pracy w Szkocji i wiele dni codziennej twardej służby żołnierskiej. Wyszkolenie i organizacja dywizji pancernej w naszych warunkach, na obcej ziemi—nie była rzeczą łatwą. Pamiętacie sami ile wysiłków, ile pracy trzeba było włożyć, aby wyszkolić załogi czołgów, kierowców samochodowych, strzelców, radiotelegrafistów, radiomechaników i patrole reparacyjne. Część z was przechodziła przeszkolenie pancerne jeszcze w Polsce. Większość dopiero tutaj. Pamiętamy wszyscy te dnie, kiedy pułki pancerne 10 Brygady otrzymały pierwsze . . . 3 czołgi. Był to początek. Po tym trzeba było zgrywać plutony, szwadrony, pułki i brygady. Mieliśmy mało sprzętu i odczuwaliśmy poważny brak ludzi. Wielu z Was przybyło z Rosji Sowieckiej część z Ameryki Północnej i Południowej, mamy pośród siebie lotników i marynarzy i mamy tu już także sporo takich, którzy przebyli długie miesiące w niewoli niemieckiej a obecnie są już gotowi do dalszych walk. Ludzie bez wiary patrzyli na nas z boku i powątpiewali. Nie chcieli oni wierzyć, że zdołamy utworzyć dywizję pancerną. Dzisiaj wiecie sami najlepiej, kto miał rację . . ."

. . . "Dywizja pancerna jest olbrzymim mechanizmem, którego sprawność zależy od działania każdego, nawet najmniejszego kółka. Każda załoga czołgu, każdy kierowca i strzelec wozu bojowego muszą dążyć do precyzji w swojej dziedzinie. Czując się dumni z tego, cośmy już osiągnęli, pracujmy wytrwale dalej. Staniemy się przez to takim właśnie precyzyjnym instrumentem walki, który w rękach Naczelnego Wodza wykona każde zadanie."

W rozmowie ze znajomym oficerem Dywizji ryzykuję pytanie: —" Co mogło być, według pańskiego zdania, przyczyną plotek i ohydnych wersji na temat ćwiczeń? "Oficer odpowiada spokojnie: —" W tego typu pracy zakrojonej na olbrzymią skalę nie może się obyć bez drobnych usterek. Oczywiście ktoś złośliwy, czy wrogi nawet sprawie polskiej, wyolbrzymił drobiazg do wielkości zagadnienia i stąd krzywda, którą dywizji wyrządziła plotka w Wielkiej Brytanii. Zresztą, mój Boże, nam wystarczy poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Nie widziałem w życiu moim ćwiczeń bez usterek, bo ostatecznie ćwiczenia są na to, by wyszły usterki, ale po raz pierwszy w życiu widziałem ćwiczenia polskiej broni pancernej przeprowadzone w tej skali i z takim wynikiem. Niech mi pan wierzy daleki jestem od sentymentu, ale jednak to chwytało za serce i gardło ściskało z nadmiaru radości . . ."

Opuszczając teren ćwiczeń i miejsca chwilowego postoju Dywizji, uzyskałem jeszcze jedną wiadomość, świadczącą o tym, że żołnierz Dywizji Pancernej zdał nie tylko egzamin żołnierski, ale i obywatelski. "Eastern Command" otrzymała list od angielskich władz cywilnych stwierdzający doskonałe wrażenie, jakie pozostawiają po sobie żołnierze polscy w tych okolicach: "Polish troops have created a very good impression in most of the villages around N. and are reported as being better behaved than many of the British troops that have been stationed there in past."

Szemrana "opinio publiczna" czy ciemna mafio plotkarska! Jakiekolwiek jest twe imię na tej nieszczęsnej tułaczce, gadaj sobie w przyszłości o czym chcesz, noś wersje i bujdy, ale wara ci raz na zawsze od polskiej broni i od zohydzania żołnierza polskiego.

Czołgi naszej dywizji mają dwie wielkie zalety: na pancerzu ślina się nie trzyma, a "gąsienica" wgniata każdą ohydę głęboko w gościnną ziemię brytyjską.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

O ZAPRZESTANIE KŁÓTNI PRASOWYCH

Dawno nosiłem się z zamiarem napisania tego, na co zdecydowałem się dopiero dziś. Przez ten czas cierpliwie czytałem dzienniki, tygodniki i dwutygodniki, bacząc, czy spory publiczne nie mają się ku końcowi. Jest ich z każdym dniem więcej, dlatego to postanowiłem dłużej nie milczeć.

O co mi chodzi? O wiele rzeczy, które mi się w naszej polskiej prasie emigracyjnej, jako czytelnikowi — nie podobają. Precyzując rzecz, tak ją wypadnie wyrazić: Panowie Publicyści / z tytułami naukowymi i bez — przyp. mój/ — nie kłóćcie się publicznie w gazetach!

Niech mi wolno będzie stwierdzić to, co z ubolewaniem stwierdzają wraz ze mną moi koledzy, że polska prasa emigracyjna — jest naprawdę często bardzo przykra. Chodzi mi o pewną kategorię artykułów. Zabieram głos jako żołnierz, zwykły żołnierz w mundurze /nie publicysta/, który przeznaczony jest do wyraźnych celów na froncie — a więc jeden z tej kilkudziesięciotysięcznej braci żołnierskiej, która tę prasę czyta, karmi się nią, uczy się z niej myśleć po polsku, po obywatelsku, nasiąka jej atmosferą, oczami tej prasy patrzy na nasz rząd, na naszych dowódców i powiedziałbym — na całą Polskę, ale to słowo jest zbyt wielkie, aby je pisać w tej samej linii obok słów: "dzisiejsza polska prasa polemiczna."

Jest faktem, że żołnierz, to największy odsetek czytelników Polaków w Wielkiej Brytanii, na Środkowym czy Bliskim Wschodzie, a więc dla niego przede wszystkim prasa jest przeznaczona, dla niego drukuje się gazety. Sądzę, że wobec tej większości liczebnej z upodobaniami, z potrzebami żołnierza jako czytelnika należy się liczyć, bo przecież ta prasa jest dla żołnierza, a nie żołnierz dla niej. Jeżeli żyjemy dziś hasłem: "Frontem do wojska" — to niech to wojsko widzi, że tak jest istotnie i że prasa dba o wojsko, że chce wnieść do niego słowo żywe i zdrowe — i tylko takie, żadne inne! W przeciwnym razie niech przestanie bałamucić się wojskowo i — powiedziałbym — państwowo.

Żołnierz nie chce czytać kłótni i zbytecznych "przekomarzań się" na szpaltach czasopism, dochodzących do jego rąk, które kupuje za peny czy szylingi ze swego żołdu. Nie chce wiedzieć nic o osobistych, czy dziennikarskich porachunkach pana X. z panem Y. Jeżeli istotnie ten sport, kłótnie i porachunki, odpowiada panom iksom i ygrekom, jeżeli pragną uprawiać nieciekawą i tak goryczą nasiąkłą szermierkę słowną i repliką odpowiadać na replikę — to niech stworzą odrębny dla swych celów organ, czy organik. a może nawet gazetkę ścienną? Niech tam się wyżywają. A może bardziej odpowiadałoby tym Panom przybijanie swych tez i antytez na bramach kościołów, jak w okresie reformacji? Niech się nie krępują. Tam te tezy czytać będą właśnie ci, których to interesuje i — nikt więcej. Niech jednak tych kłótni i napaści nie czyta żołnierz. Nie wolno zawlekać zarazy niezgody w nasze szeregi.

Nie wymieniam nazwisk, które spotyka się pod zjadliwymi, gorszącymi artykułami. Nie wymieniam ich celowo, aby uniknąć niepotrzebnych replik ze strony tych autorów, którzy mogli by się czuć dotknięci tymi uwagami. Nie chodzi mi o dotknięcie kogokolwiek, lecz tylko o samo zło, które się bujnie pleni.

Ci autorzy podpisują bardzo często swoje nazwiska pod artykułami małej treści, a czynią to prawdopodobnie dlatego, że ich po prostu stać na to, że mają t.zw. "cywilną odwagę." Ja również podpisuję ten list nazwiskiem, bo też mam odwagę — ale żołnierską. Kto zechce, może zażądać wyjaśnień i znajdzie mnie bez trudu, ale ja jeszcze raz się zastrzegam, że nie chcę dyskusyj, ale raz jeszcze ponawiam prośbę: Panowie Iksy i Ygreki, zaprzestańcie publicznych kłótni!

W tych na pozór nieważnych artykułach polemicznych — żołnierz znajduje wiele "rewelacyjnych rzeczy." Piszę "rewelacyjnych" bo przeróżne wiadomości o członkach naszego rządu, o naszych dowódcach, o różnych czasopismach są dla nas żołnierzy najczęściej rewelacją i rewelacją w złym znaczeniu, bo przecież takie wyciąganie na światło dzienne kuchennych plotek nie jest ani ciekawe, ani dowcipne, ani tym bardziej pouczające, czy budujące moralnie. Dalej — mówię: "rzeczy" a to dlatego, że do tych rewelacyj nie umiem dobrać odpowiedniego określenia, gdyż nie są one zazwyczaj faktami ani dowodami na cokolwiek.

Panowie Redaktorzy i Publicyści, jeżeli sądzicie, że takie rozgrywki uczą czegoś żołnierza i dają mu pożyteczne wiadomości, że umożliwiają mu poznanie prawdy o ludziach czy czasopismach — to się mylicie! Po pierwsze: wyświadczacie tej prawdzie niedźwiedzią przysługę, bo w naszych, żołnierskich oczach podrywacie wielkie autorytety, niszczycie zaufanie do ludzi, których mamy obowiązek szanować i chcemy szanować. Po drugie: kłótnie i spory osobiste, obmowy i kto wie, czy nawet nie oszczerstwa, publicznie wypowiadane, nie budują żołnierza moralnie i niczego dobrego nie uczą. A zatem chybiają celu i są zbędne, są szkodliwe.

Głos mój nie jest odosobniony, pomimo że list podpisany jest tylko jednym nazwiskiem. Tak być musi. Wojsko choć jest zwarte i zdyscyplinowane, jako całość nie jest w stanie się wypowiedzieć. Wojsko nie urządza mityngów, zebrań, ani akademii, na których mogłoby ono ujawnić swoją zbiorową wolę. W tym stanie rzeczy nikt za wszystkich wypowiedzieć się nie może. Ale możliwą jest rzeczą, że jeden żołnierz wie, co mówi jego kolega, co mówi jego dziesięciu kolegów, nawet stu czy więcej.

Edward Grzymałowski /RAF/

APEL
W SPRAWIE ZBIÓRKI KSIĄŻEK DLA BIBLIOTEK W KRAJU

Tragiczne losy polskich zbiorów naukowych znane są szerokiemu ogółowi. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że biblioteki nasze dewastowane są i germanizowane bezwzględnie przez okupantów. Troska o ich przyszłość, o jak najszybsze uzupełnienie ich zbiorów, by na nowo mogły służyć pracownikom naukowym i uczącej się młodzieży — winna stać się udziałem wszystkich obywateli polskich.

Fundusz Kultury Narodowej uruchomił w styczniu 1943 r. systematyczne gromadzenie: a/ książek i czasopism polskich i Polski dotyczących, b/ najważniejszych wydawnictw naukowych w jęz. angielskim i innych językach obcych.

W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy z darów i zakupów zgromadzono ponad 5500 książek i broszur, skompletowano i oprawiono ponad sto roczników czasopism.

Intencją Funduszu Kultury Narodowej jest zabezpieczenie dla Biblioteki Narodowej w Warszawie, Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, bibliotek uniwersyteckich w Warszawie, Poznaniu, Lwowie, Wilnie i Lublinie, dla bibliotek naukowych w Łodzi, Katowicach, Toruniu, Bydgoszczy, Gdyni, Łucku i Tarnopolu po jednym przynajmniej egzemplarzu druków polskich i Polski dotyczących, które już ukazały się lub ukażą się w czasie wojny. Czasopisma gromadzone są w 3 egz. dla Biblioteki Narodowej, Bibl. Jagiellońskiej i Ossolineum.

W pracach, zmierzających do ogarnięcia całości polskiej produkcji wydawniczej na emigracji od września 1939 r. poczynając, Fundusz Kultury Narodowej napotyka na poważne i zrozumiałe trudności. Dotyczy to w szczególności druków /a zwłaszcza czasopism/ wydanych w latach 1939 — 1942 i wszelkich druków wydanych poza Wielką Brytanią. Szereg roczników czasopism n.p. "Dziennika Żołnierza," "Co Słychać," "Skrzydeł," "Poradnika Oświatowego YMCA" i t.p. czeka od kilku miesięcy na uzupełnienie brakującymi numerami, których mimo usilnych starań nie udaje się pozyskać. Analogiczne trudności występują przy kompletowaniu czasopism angielskich, omawiających obszerniej sprawy polskie n.p. "The Nineteenth Century," "The Tablet" i t.p.

Wzgląd na dobro bibliotek w Kraju i troska o zbogacenie ich zasobów nakazuje Funduszowi Kultury Narodowej zwrócenie się z gorącym apelem do wszystkich zbieraczy wydawnictw z prośbą o pomoc w tej sprawie przez nadsyłanie darów dla bibliotek w Kraju. W podjętej akcji idzie nie tylko o książki i broszury. Ważny jest każdy druk /czasopisma, odezwy, ulotki, afisze, ogłoszenia, prospekty wydawnictw, nekrologi, nuty, mapy i t.p./. Gromadzone są nie tylko druki, ale i wydawnictwa powielane, a także rękopisy prac naukowych, pamiętników, referatów, utworów literackich i innych.

Musimy przekazać przyszłości całą polską produkcję wydawniczą dni naszych z okresu toczącej się wojny a pochodzącą z obczyzny. Musimy pomóc w odniemczaniu zbiorów naukowych przez zasilenie ich wartościowymi książkami i czasopismami angielskimi. Najskromniejszy nawet dar jest mile widziany. Uwzględniane są wszelkie indywidualne życzenia osób, które pragnęłyby dary swe przeznaczyć dla pewnych określonych bibliotek.

Dary należy kierować pod adresem: Polish Board of Education, The Library, Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.

Fundusz Kultury Narodowej prosi o rozpowszechnianie jak najszersze tego apelu pomiędzy Polakami na Obczyźnie.

Londyn, dnia 21 września 1943.

Fundusz Kultury Narodowej

Dla Polaków w Rosji: £9,924

Kochanemu Koledze Henrykowi Vogelfaengerowi składamy z okazji imienin najserdeczniejsze życzenia przekazując równocześnie 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji zamiast upominku.

Koleżanki i koledzy z "Lwowskiej Fali."

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękując uprzejmie za łaskawe nadesłanie 3. egzemplarzy "Polski Walczącej" z notatką o wpłacie przeze mnie sumy £23.17.6—w załączeniu przesyłam Money Order KH 31145 na sumę £6.4.6 oraz czek 211602/32583 Lloyds Bank na sumę £1.1 razem £7.5.6 zebranych podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes" w P. w czasie od 10 do 18 września na pomoc dla Polaków w Rosji.

Dopóki nie spłacę £27.5 za druki 3-go nakładu katalogów dochód który idzie na powyższy cel i wpłaty moje będą niższe. Będzie spodziewam się jednak więcej.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Paweł Miller

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam M.O.na £.15 sh.10 d.2. Kwotę powyższą złożyli niektórzy podoficerowie i szeregowi Pułku Przeciwpancernego na:

a/pomoc dzieciom polskim wyewakuowanym z Rosji... £7.15.1
b/pomoc jeńcom polskim w Niemczech £7.15.1
/dla Sekcji Pom. Pol. Jeńcom Wojennym/
Razem £15.10.2

O.T. wachm.

Redakcja "Polska Walcząca"

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £8.12.4. złożoną w mies. wrześniu przez żołnierzy III dyonu 1p.art.mot. z przeznaczeniem na pomoc. Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu major, W.Y.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £25.2.11 /słownie dwadzieścia pięć funtów, dwa szylingi i jedenaście pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9.924.8.11 /słownie: dziewięć tysięcy, dziewięćset dwadzieścia cztery funty, osiem szylingów i jedenaście pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5 1/2 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

WIADOMOŚCI Z IRANU

dla HAUSNER Roman o żonie, dla KOBELSKI Kostek o Marcie i Halinie, dla ŁABENCKI Bogusz o Janinie.

Do P.C.K. zostały zwrócone następujące listy spowodu nieodszukania adresatów:

dla DUDZIAK Józef, dla HOLCMAN, dla KOWIEL Aleksander, dla KURDA Ludwik.

Celem umożliwienia bezzwłocznego przekazywania wiadomości i korespondencji nadchodzącej z ZSRR i Iranu uprasza się wszystkich o rejestrowanie się w P.C.K. przez podanie: pełnego imienia i nazwiska, ewentualnego stopnia wojskowego, daty urodzenia i dokładnego adresu oraz zgłaszania w P.C.K. wszelkich zmian swego adresu.

Zbiórka książek

Bezimiennie siedem zeszytów "Co słychać" dla biblioteki dla junaków na Bliskim Wschodzie.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Proszę uprzejmie o przyjęcie tej książki do Biblioteki dla Polaków na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem *R.W.*

Załączone: Arkady Fiedler: "Dywizjon 303."

* * *

P. Tadeusz Daszkiewicz przesłał: Porucznik Herbert: "Żądło Genowefy," dla Biblioteki Żołnierskiej Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie.

* * *

W związku z apelem umieszczonym w nr. 36 "P.W.," wzywającym do ofiarowania książek żołnierzom Armii Polskiej na Wschodzie — przesyłam pięć książek polskich i dwie angielskie z prośbą o skierowanie pod właściwym adresem.

Z poważaniem *por. K.R.*

Załączone: Konrad Tarnowski: "Kurs szoferski." K. Lipnicki: "Kamienica z czerwonej cegły." St. Wyspiański: "Wesele." J. Pietrkiewicz: "Po chłopsku" /2 egz./. Ibanez: "Blood and Sand." E. Muspratt: "My South Sea Island."

* * *

Bezimiennie: Dykcjonarz: Polsko — angielski. "English — French." MacCallum: "Nauka angielskiego." Hugo: "French simplified."

* * *

Bezimiennie: J. Żuławski: "Zwyciężca." St. C. Walewski: "Rdzawe blaski." E. Orzeszkowa: "Meir Ezofowicz." E. Rostand: "Cyrano de Bergerac." W. Tokarz: "Sprzysiężenie Wysockiego." G. Frensen: "Sługa boży."

Dla jeńców: "paczki od serca"

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Narod. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc wrzesień Ł 23.5- /słownie funtów dwadzieścia trzy, szylingów pięć/.

* * *

Przekazuję na paczki świąteczne dla Jeńców Saperów przebywających w obozach niemieckich kwotę £5.6.7 /funtów pięć, szyl. sześć, 7d./

Kwota powyższa została zebrana w czasie urządzenia wystawy "Poland before September 1939" w Cambridgeshire.

Oficer oświatowy komp. Saperów

* * *

Dziękując 1. Kompanii Saperów za zaprojektowanie i wykonanie ołtarza w kościele garnizonowym ksiądz Kapelan M. składa na paczki świąteczne dla Polskich Jeńców Saperów przebywających w obozach niemieckich kwotę £4 /cztery/

* * *

Zygmunt Nagórski jr. nieprzyjęte honorarium za artykuł "Wypełnijmy treścią słowo powrót" w nr. 209 "Dziennika Żołnierza" z dn. 8.9.b.r. w wysokości £1 składa na jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Przesyłam na pomoc Polskim Jeńcom w Niemczech postal order 99 081424 na sumę sześć szylingów.

J.K.

* * *

Dear Sir,

Please find enclosed a small donation of 10 sh. for the Parcels for Polish Prisoners of War, in appreciation of a lecture attended by my husband and myself, given by Pilot-Officer Klinga at Llandovery, S. Wales, this week.

Wishing your effort on their behalf every success

Yours sincerely,

Frank and Patricia Robins

* * *

W załączeniu przesyłam sh. 10.- na jeńców polskich w Niemczech.

F.Z.

* * *

P. Andrzej Liebich nieprzyjęte honorarium za cykl artykułów p.t. "Niezłomne serca" druk. w "Polsce Walczącej" w kwocie £6. przekazuje na "paczki od serca."

* * *

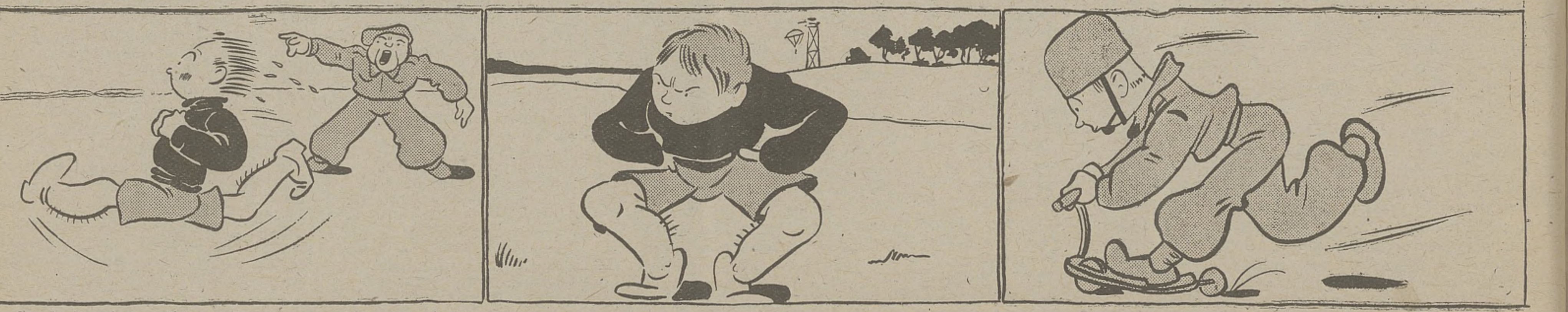
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £48,12.8 /słownie czterdzieści osiem funtów, dwanaście szylingów i osiem pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym—Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na pomoc Jeńcom Wojennym za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £785.12.5 /słownie siedemset osiemdziesiąt pięć funtów, dwanaście szylingów i pięć pensów/ i 50 milrejsów.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Spadochroniarz solidny
Ciągle musi trenować.

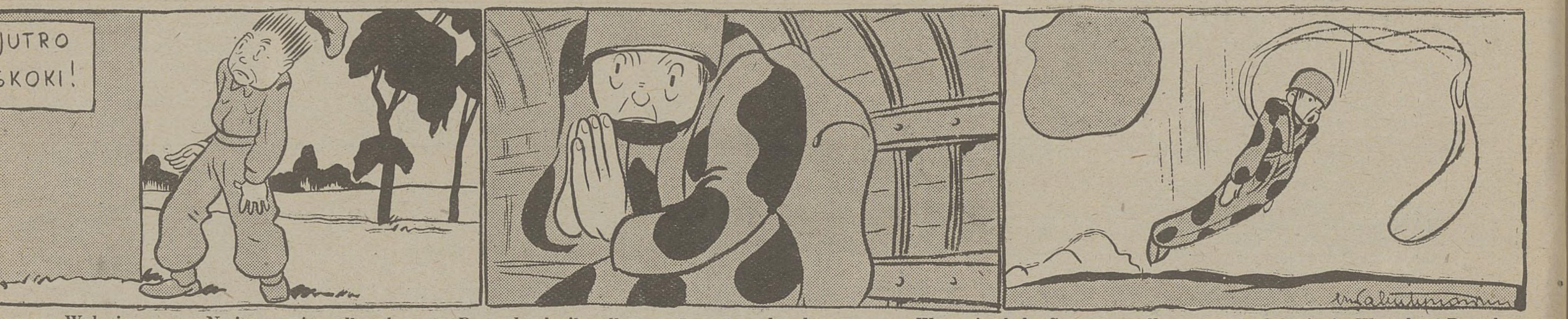
Trenowano tak Pompkę
Że aż zaczął żałować.

Przed śniadaniem—przysiady,
Po śniadaniu—w dzień świeży—

Musztra, biegi, zaprawa,
Po obiedzie—skok z wieży.

Przed kolacją—ćwiczenia
I zasadzki na wroga,

Po kolacji—motorek.
Pełny gaz! Hulaj noga!



Wymęczono Walusia
Do dwudziestu trzech potów,

No i wreszcie padł rozkaz:
Jutro skok z samolotu!

Przyszła chwila odlotu.
Leciał Pompka jak ścięty

I powtarzał pod nosem:
Trzymaj fason Walenty!

Wreszcie skok. Serce w gardle.
Raz . . dwa . . trzy . . Wieczność cała,

Ładny gips!—Westchnął Pompka—
Mój spadochron nie działa . . .

USTALONE ODRESY
WYKAZ Nr. 32

1. **Bieniawska** Paulina — przebywa Teheran Obóz Cywilny nr. 3 namiot 177 /5672/.

2. **Garapich** Anita ze Smitków — przebywa w Teheranie /4526/.

3. **Kulbecki** /prawdopodobnie Kulbacki/ Sylwester, ojciec por. Lot. ś.p. Hieronima: Akmolinskaja obłast Jesilskij rajon Posiołek Dżakły /3800/29/ 1.I.1943.

4. **Paprocka** Ksenia — 1915 i córka Nadzieja: 1939 mąż szeregowy Wasyl zmarł — Akmolinskaja obł. Szorłandyjskiej rajon Kołchoz im. Kaz-Cyka /3800/13/ 1.I.1943 r.

5. **Zywicka** Celestyna z córką Walentyną mąż Zygmunt zmarł 17.3.1942 r.: Akmolinskaja obł. Jesilskij rajon Posiołek Dzakry /3800/30/ 1.I.1943.

POSZUKIWANI

75. **Wirkus** Jan, kpr. — poszukiwany przez matkę Wirkus Józefę w Rosji /3800/6/.

76. **Woydyłło** Witold, ppor. lek. — poszukiwany przez żonę Michalinę i córkę Witoldę w Rosji /3800/27/.

77. **Wróbel** Roman, zmob. 1939 r. — poszukiwany przez żonę Emilię w Rosji /3800/7/.

78. **Żabolicki** Antoni, ppłk. rez. — poszukiwany przez żonę Julię Żabolicką i córkę Janinę Telszewską w Rosji /3800/22/.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

1. Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o rodzinie WOLF DROCK /recte/ LAUER lub o mgr. praw BEZALEL LAUER, jego żonie i dziecku, pochodzących ze Złoczowa, woj. Tarnopolskie jak również,

2. ABITURIENCI GIMN. im. Kr. JANA SOBIESKIEGO z lat 1934 i 1935 w Złoczowie, proszeni są o zgłoszenie się pod adresem: Mr. Fabian Lauer, c/o David Turoff, 29, Charles Str., Wilkes-Barre, Pa., U.S.A.

* * *

LEON JERZY KRZYWICKI, który był wywieziony jako jeniec wojenny do Rosji jest poszukiwany. Wszelkie informacje prosimy nadsyłać do Admin. "P.W." pod "Inż.A.K."

* * *

GANET FRANCISZEK ze Stanisławowa poszukuje krewnych i znajomych. Adres. P/11,P.F.

* * *

WIKTORIA GRANIAK, 100 Pułaski Str. Newark, N.Y., U.S.A. poszukuje swego brata IGNACEGO PROKOPOWICZA, syna Ignacego i Marji Prokopowicz, ur. w r. 1900. Pracował we Lwowie, w fabryce ślusarskiej swego stryja. Zamieszkały ostatnio we Lwowie, ul. Skarbkowska 16. Żonaty, im. dzieci Jerzy i Maria.

* * *

SCHUPPLER ERNEST i SCHUPPLER JAN — obaj z Drohobycza, poszukuje Roman Schuppler. Wiadomość na adres: Dr. Młotek Mieczysław, Middle East Polish Forces 125.

* * *

Ktokolwiek zna adres p. RÓŻY BASIŃSKIEJ wywiezionej w r. 1939 ze Lwowa do rej. Archangielska, proszony jest o podanie wiadomości do redakcji P.W.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505' i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.